Dziś w numerze: Co z tą etnografią? Biała dżuma Trochę czerwonego wina „Słońce wschodzi koło Łodzi" Mister Radomska Rozczarowana dorożka Felietony Wiersze Recenzje

odgłosu

Nr 46 (460)
19. XI. 1967 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK X

W poszukiwaniu mecenasa

Na dyskusję o „małej architekturze" i wpływie artysty plastyka na kształtowanie się estetycznego oblicza naszego miasta zaprosiliśmy artystów-rzeźbiarzy, przedstawicieli łódzkiego środowiska plastycznego, którzy ze względu na charakter twórczości i doświadczenie w tej dziedzinie mają wiele na ten temat do powiedzenia.

W naszej dyskusji uczestniczyli: ELWIRA I JERZY MAZURCZYKOWIE, twórcy wielu zrealizowanych projektów, uczestnicy i laureaci wielu wystaw i konkursów w kraju i za granicą, autorzy pomnika Marchlewskiego, Moniuszki, współtwórcy rekonstrukcji pomnika Kościuszki w Łodzi, LECH KUNKA, profesor PWSSP — malarz i rzeźbiarz, uczestnik 75 wystaw w kraju i za granicą i laureat wielu z nich, MICHAŁ GAŁKIEWICZ, malarz i rzeźbiarz, wykładowca PWSSP, uczestnik 45 wystaw, laureat wielu prac, autor nowej oprawy plastycznej cmentarza żołnierzy radzieckich w Tomaszowie Mazowieckim. Dyskusję prowadził redaktor naczelny „ODGŁOSÓW" — WACŁAW BILIŃSKI.

W. BILIŃSKI — Dzisiejszą dyskusję chcemy poświęcić sprawie estetycznego wyglądu miasta i problemom z tym związanym. Interesujące byłoby wyjaśnienie przyczyn paradoksalnej dysproporcji pomiędzy potencjalnymi możliwościami naszego środowiska plastycznego, a pozbawionym ambicji plastycznych wystrojem naszej nowej architektury miasta. Łódź ma jedno z najciekawszych, najżywszych środowisk plastycznych w Polsce, nie uczestniczy ono jednak w dziele upiększenia miasta elementami o trwałej wartości artystycznej. Co na ten temat myślą plastycy?

Dalszy ciąg na str. 3

W początkach br. redaktor naczelny „New York Times" Harrison E. Salisbury swym reportażem z Wietnamu alarmował światową opinię publiczną, iż bombardowania amerykańskie dotknęły w DRW również cele niemilitarne, skupiska ludności cywilnej. Reportaż ten „Odgłosy" przedrukowały.

Obecnie prasę krajów zachodnich obiega relacja z DRW pióra Oliviera Todda, naukowca francuskiego i współpracownika paryskiego „Le Nouvel Observateur". Todd przedstawia obraz bestialskiej eskalacji wojny wymierzonej przeciw wioskom wietnamskim, leżącym daleko od jakichkolwiek celów militarnych.

Oto fragment tej wstrząsającej relacji:

„Nazajutrz pytam kierowcę Trang Dung Diena, gdzie w czasie wczorajszego bombardowania padły tak blisko bomby. Odpowiada mi: „Na Tuy Ho, małą wioskę, byli zabici i ranni".

Chcę jechać do Tuy Ho. Wszyscy się temu dziwią. Przecież takie wydarzenia jak wczoraj w Tuy Ho zdarzają się tu co dzień. Lecz jeśli mi na tym zależy, to zgoda, pojedziemy do Tuy Ho, najpierw w samochodzie Dowództwa, potem przekraczamy rzekę Złotego Smoka w sampanie z bambusu, uszczelnionym smołą i klejem z manioku. Płacimy za przeprawę parę centymów. Dalej trzeba maszerować groblami. Za małym mostem, dziś już niedostępnym dla samochodów, czeka nas lazik, który jednak nie może zawrócić, bo grobla jest za wąska. Rozwiązanie tego dylematu jest typowo wietnamskie: zwołujemy z pól grupę kobiet i one szybko budują przy grobli rodzaj małej platformy, na której samochód zawraca.

Do Tuy Ho, zapadłej dziury zamieszkałej ledwie przez 400 rodzin docieramy po licznych objazdach. Wioska tonie w roślinności, która by pasowała do fantastycznych obrazów Rousseau.

Stary, zabytkowy budynek Gminy jest uszkodzony po wczorajszym bombardowaniu. Smoki i tygrysy na malowidłach i rzeźbach bardzo ucierpiały. Przed domem pasie się bawół z ogromną, już przyschniętą raną na łopatce.

Stoimy na innym miejscu spustoszonym, zrównanym z ziemią: i tu padły bomby, ziemię pokrywa rumowisko cegieł, rozkruszonej gliny i plecionki z trzcin i bambusu. Obok studni leżą sandały i zeszyt, należące niedawno do ucznia klasy 6c, obok, w leju podchodzącym wodą walają się zabite w bombardowaniu prosięta. Ale już na tym pobitym placu nastaje ład: wiejscy milicjanci organizują ludność, zaczyna się porządkowanie ruin.

Van Du, sołtys wsi, oblicza bilans bombardowania: „Samoloty nadleciały po północy, gdy wieś spała. Zrzucili 16 bomb dwudziestokilogramowych, zginęły cztery kobiety i troje dzieci. W jednym z domów zginęła cała rodzina. Prócz tego osiem rannych, dziesięć domów zburzonych, budynki gminy i szkoły uszkodzone.

Po każdym bombardowaniu nauczyciel wiejski ma obowiązek obliczyć dokładne straty materialne. W Tuy Ho wynoszą one 21 ton ryżu. Prócz tego jeden zabity bawół, inny ciężko ranny; zginęły wspomniane dwa prosięta i około 100 sztuk drobiu.

Ung, 21-letni chłop o wąskiej twarzy, ma zaczerwienione oczy. Podobnie jak tajemnice wojskowe, kryją Wietnamczycy skrupulatnie zazwyczaj i rozpacz. Ung zadaje sobie wiele trudu by nie okazać jak cierpi, lecz chwilami jest to ponad jego siły, stracił tej nocy matkę i trzyletnią córeczkę. Spały na matach i nie zdążyły nawet uskoczyć do cementowanego loszku, schronu odległego od nich ledwie o 40 centymetrów. Odłamki dosięgnęły je, gdy zerwały się z pościeli.

Widziałem tuziny małych, dotkniętych bombardowaniem wiosek — takich właśnie, jak Tuy Ho, odległych od najbliższych celów militarnych o 30—40 kilometrów. Jakiż to rozkaz wydano amerykańskim pilotom, którzy nocą atakują wietnamskie wioski? Czy to samowola pilotów, czy też strategiczna myśl Pentagonu? Jedno jest pewne — to co Amerykanie mówią o bombardowaniach wojskowych celów, to zwykłe kłamstwo. To militarne „alibi" niespokojnego sumienia".

Kronika tygodnia

■ ZSRR uzyska w 1968 roku nowy rodzaj broni: pociski orbitalne — zakomunikował w dniu 4 bm. na konferencji prasowej minister obrony McNamara, powołując się na informacje wywiadu amerykańskiego.

■ **W Pradze przedstawiciele ministerstwa spraw wewnętrznych CSRS poinformowali dziennikarzy o ujawnieniu i aresztowaniu autora „Manifestu czechosłowackich pisarzy do światowej opinii publicznej". Chodzi o falsyfikat opublikowany przed dwoma miesiącami przez londyński tygodnik „Sunday Times", a wykorzystywany na Zachodzie do ataków na CSRS. Dziennikarzy zapoznano z materiałami i dokumentami świadczącymi, że autorem „Manifestu" jest jedna osoba, że nie istniały na nim żadne podpisy artystów, pisarzy i pracowników kultury.**

■ Naczelny redaktor „Al Ahram" w cotygodniowym artykule wstępnym pisze: „Kontynuowanie wojny z Izraelem jest nieuniknione, ponieważ poszukiwania rozwiązania politycznego spełzły na niczym, jednakże wznowienie walk, to nie sprawa najbliższego czasu". „Trzeba nastawić się na długą i zaciętą wojnę — kontynuuje pismo — ponieważ poszukiwanie pokoju w chwili, kiedy wróg okupuje część terytorium narodowego, oznacza kapitulację".

■ **Znany brytyjski historyk Arnold Toynbee oświadczył, że obecne kierownictwo w Chinach zostanie zastąpione przez umiarkowane ugrupowanie KPCh z chwilą, gdy rozwiązane zostaną problemy rewolucji kulturalnej. Nie mogę powiedzieć — stwierdził Toynbee — jak długo trwać będzie rewolucja kulturalna w Chinach, ale jestem pewny, że wkrótce sytuacja w tym kraju wróci do normalnego stanu.**

■ Minister handlu w rządzie Johnsona zaapelował do Kongresu, aby zatwierdził kredyty, które dopomóc mają w budowie zakładów samochodowych w Związku Radzieckim.

■ **Nowa ankieta Instytutu Gallupa wykazała, że 48 procent obywateli Stanów Zjednoczonych nie ma zaufania do wietnamskiej polityki prezydenta Johnsona, 20 procent zapytanych odpowiedziało, że ma do tej polityki „wiele zaufania", a 28 procent — „nieco zaufania".**

■ W zeszłym roku w Czechosłowacji zarejestrowano ponad 20 tys. rozwodów, co jest liczbą rekordową. Najwięcej rozwodów było w okręgach czeskich. W Pradze na 100 małżeństw przypadało 36 rozwodów. W celu zapobieżenia rozwodom, w Pradze urządzono pierwszą w kraju poradnię małżeńską, która zajmować się będzie badaniem problematyki małżeńskiej w szerokim tego słowa znaczeniu. Specjaliści — psycholodzy, seksuolodzy, ginekolodzy, psychiatrzy, prawnicy i socjologowie udzielać będą klientom wyczerpujących porad.

■ Times: „Wielki Izrael, o którym mówi premier Levi Eszkol, staje się szybko rzeczywistością... Mimo, że na płaszczyźnie międzynarodowej trwa dyskusja, wszystko wskazuje na to, że władze izraelskie mają nadzieję, iż zdołają utrzymać niemal wszystko, co znajduje się w ich ręku. Stwierdzenie: „Inne tereny możemy zwrócić, ale tego terenu nie", jakie słyszałem po raz pierwszy w Jerozolimie w czerwcu — pisze korespondent pisma — można usłyszeć teraz tam, gdzie znajdują się Izraelczycy, na okupowanej ziemi syryjskiej i jordańskiej.

■ **Komisja do spraw podręczników na uniwersytecie w Zagrzebiu w Jugosławii, wycofała z szeregu podręczników dla studentów wyższych uczelni, książkę prof. S. Kostića pt. „Stosunki międzynarodowe i prawo międzynarodowe". Książka ta była początkowo pozytywnie oceniana przez specjalistów i służyła jako podręcznik. Później, zaś na łamach publikacji zagranicznych i jugosłowiańskich ukazały się ostre, negatywne recenzje. W październiku br. radziecki historyk N. Jakowlew w artykule na łamach czasopisma „Woprosy Istorii" zarzucał autorowi wypaczanie faktów historycznych.**

■ **Prasa amerykańska nadaje ostatnio coraz większy rozgłos sprawie działalności grup partyzanckich w Syjamie. Przed rokiem mapa — pisze „Newsweek" — na której syjamski sztab generalny oznaczał rejony działania zgrupowań partyzanckich, sprawiała wrażenie dość uspokajające. Jednakże ostatnio mapa wygląda, jakby dostała ostrej odry.**

■ W ramach prowadzonej kampanii antyjordańskiej, izraelskie radio wystąpiło z twierdzeniami, które agencja AFP określa mianem niebywale ostrych. Zarzucając rządowi w Ammanie czynne popieranie ruchu oporu Arabów na terytoriach okupowanych, komentator radia powiedział: „Ta sytuacja nie może trwać wiecznie, armia izraelska bez wątpienia potrafi załatwić los organizacji podziemnej, tak jak potrafiła załatwić los armii arabskiej w czerwcu".

■ Musimy liczyć jedynie na siebie i pomoc światowego judaizmu — oświadczył premier Izraela Eszkol, na zebraniu Izraelczyków pochodzenia rumuńskiego. „Izrael powinien posiadać, aby stać się państwem dobrobytu, 5 milionów obywateli żydowskich".

■ Korespondenci agencji zachodnich w doniesieniach z Moskwy na temat parady wojskowej na Placu Czerwonym piszą, iż największe zainteresowanie ekspertów zachodnich wzbudziła nowa „mamucia" rakieta długości w przybliżeniu 33 metrów, wyposażona w czerwoną głowicę. Agencje przytaczają zdania, z komentarzy radzieckich, że posiada ona nowy rodzaj udoskonalonego paliwa i że broni takiej nie posiada żadna inna armia świata.

■ **Minister bezpieczeństwa publicznego ChRL oświadczył ostatnio, że IX Zjazd Komunistycznej Partii Chin, odbędzie się w przyszłym roku. Podkreślił on, że delegaci czerwonej gwardii i innych organizacji rewolucyjnych, które aktywnie brały udział w rewolucji kulturalnej, wezmą udział w Zjeździe mimo, że nie są oni członkami partii, bądź Komunistycznego Związku Młodzieży Chin.**

■ Wszystkie szkoły podstawowe i średnie w Pekinie i Szanghaju, rozpoczęły już nowy rok szkolny i przystąpiły do normalnych zajęć.

■ Gaullistowski dziennik „La Nation" zamieścił komentarz poświęcony 50 rocznicy Rewolucji Październikowej, rozpoczynając go od przypomnienia, że nocą 7 listopada 1917 roku, technicy stacji telegraficznej na najwyższym piętrze Wieży Eiffla odebrali, jako pierwsi, wiadomość o zwycięstwie Rewolucji w stolicy Rosji. Być może — konkluduje pismo — iż Paryż, który 50 lat temu jako pierwszy odebrał sygnał Rewolucji, w ostatnich latach również jako pierwszy wykorzystuje okazję do coraz większego działania na rzecz osłabienia napięcia między dwiema częściami Europy.

■ La Nation: Obowiązkiem Europy jest utworzenie społeczeństwa bardziej humanitarnego i mniej skłonnego do ulegania samoczynnym mechanizmom popychającym je na drogę nowego imperializmu gospodarczego... Społeczeństwo, które stawia człowieka w pierwszym rzędzie swych trosk, zajmuje się np. w trybie priorytetowym sytuacją rejonów upośledzonych, podczas gdy w Waszyngtonie nikt się nie zajmuje milionami bezrobotnych istniejących przy równoczesnej ogromnej prosperity Ameryki. Taka bowiem jest Europa, taka jest owa bardziej humanitarna cywilizacja, której budowy pragnie Francja przy udziale zresztą wschodniej części kontynentu... Jak bardzo chciałoby się wierzyć, że jest to również jedyne ważną rzeczą w obecnych czasach dla zaprzyjaźnionej Anglii.

„L'Aurore": Biedni Anglicy, oto jeszcze zanim nadeszły mrozy, pozbawieni są szterlingów, flegmy i humoru, artykułów, które dawniej stanowiły bogactwo tego kraju. Czy można się dziwić, że odmawia się im wobec tego wszelkiego kredytu?

■ Wiceprzewodniczący SPD, Wehner, wyraził obawy z powodu „niebezpieczeństwa radykalizacji" w NRF. Bezpośrednim powodem tych obaw jest radykalizacja nastrojów w Zagłębiu Ruhry, wyraźna radykalizacja związków zawodowych środowisk intelektualnych i studenckich. Wehner uważa, że radykalizacja polityczna doprowadzi do sparaliżowania istniejących partii politycznych i do ich bezsilności.

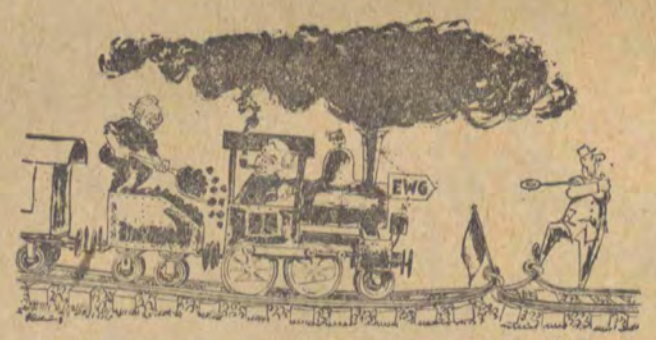

(Die Welt)

Nożycami przez prasę

POSIEDZENIARZE

Przypominając śmiertelne zawały u znajomych działaczy ledwie po pięćdziesiątce, W. M. w „Życiu Literackim" występuje przeciwko mnogości zebrań.

Satyrycy już się tego tematu wstydzą, częściej jednak powinni do niego dobierać się właśnie publicyści.

W. M.:

I oto jestem kiedyś, w tym wypadku w mieście wojewódzkim, u drugiego towarzysza. Historia się powtarza, chociaż te perypetie sercowe nie grożą katastrofą. Ale przyczyny zostają, problem trwa, alarm trwa. A tym problemem — moim zdaniem — dla ludzi z inklinacją społeczną, zdopingowaną przez funkcyjność, jest nadmiar zebrań i różnych terenowych konwentykli obsługiwanych przez tych samych odpowiedzialnych ludzi.

Gdzieniegdzie już z zegarkiem w ręku liczy się czas mówienia, ale nie stało się to jeszcze potoczną praktyką. I tu nasuwa się pytanie: czy nie zależą te sprawy właśnie od samych działaczy?

Nad tym się trzeba zastanowić, żeby ten kto mówi o organizacji życia, organizował je i dla siebie. A jeśli buduje drogi, żeby nie zamykał drogi dla siebie, jeśli zaś mówi o melioracji, to żeby meliorował także sadzawkę, w której ugrzązł, a jeśli mówi o produkcji, to żeby sam siebie widział w roli niemarnotrawnego producenta.

Przypomnijmy dla porządku, że słynny wiersz Majakowskiego „Posiedzeniarze" został ogłoszony jeszcze w 1922 roku, zaś na polski przetłumaczony z górą przed ćwierćwieczem.

NAPAŚĆ DŹWIĘKOWA

Cytowany na tym miejscu artykuł z „Polityki" wywołał zrozumiałą reakcję w postaci listów do tegoż pisma. Oto tekst jednego z nich:

Jestem długoletnim mieszkańcem cichego odludzia, zakątka naprawdę pięknego, o rzadko spotykanych walorach wypoczynkowych. Ale kiedy w sezonie letnim kilka pobliskich ośrodków wypoczynkowych, położonych nad jeziorami, urządzi sobie wieczorne megafonowe „rykowisko", można oszaleć.

Czy paradowanie w miejscach publicznych, restauracjach, miejscach wypoczynku z wrzeszczącymi tranzystorami nie powinno być dawno zabronione? Czy „napaści dźwiękowe" nie powinny być objęte kodeksem i jak napaść traktowane?

Nie zostaje nam nic innego, jak potraktować to jako społeczny postulat. Naglący!

144 LATA KOPCA

Wbrew obyczajowi — w tym wypadku kwitowania rocznic, by do nich nie wracać w innych terminach — „Tygodnik Powszechny" przynosi jeszcze jeden przyczynek do rocznicy kościuszkowskiej, przypominając piórem St. Garzteckiego interesujące dzieje kopca. Inicjatywa wyszła z Senatu Wolnego Miasta Krakowa w 1820 roku.

Powołano komitet, posypały się składki, rozwijał się „Czyn społeczny".

Na wiosnę 1821 r. komitet przyszedł do przekonania, że korzystanie tylko z ofiarności ochotników może rozciągnąć sypanie kopca na wiele lat, ustalił przeto wysokość płacy dla pracujących przy sypaniu oraz zakupił taczki i łopaty dla ochotników. Kierownictwo techniczne budowy ustaliło ostatecznie rozmiary kopca na 126 łokci średnicy u podstawy, 54 łokcie wysokości, 13,5 łokci średnicy u szczytu. Robota kopca w ostatecznym kształcie została zakończona 25. X. 1823 r. Ustalono również, że uwieńczenie kopca głazem z nazwiskiem Kościuszki może nastąpić dopiero wtedy, gdy kopiec osiądzie zupełnie, a szczyt będzie mógł wytrzymać ciężar głazu.

W latach 1824—59 kopiec stopniowo osiadał. Obecnie na czele komitetu — jest to chyba komitet polski o najdłuższym stażu — stoi prof. dr Karol Estreicher. Aktualny komitet działa w ramach Towarzystwa Miłośników Historii i Zabytków Krakowa.

AMBIWALENCJA

P. Kydryński (chyba Lucjan?) w „Przekroju" opisuje otwarcie salonu Mody Polskiej w stolicy. Salon stał się obiektem zaciekłego szturmu, ma się rozumieć z naruszeniem wszelkich pojęć o porządku.

Pisze p. Kydryński:

Oczywiście wybijanie okien w ścisku po pięknobiustonosze, to rzecz brzydka. Ale i korzystnie świadczące o warszawiankach które wszystko pragną mieć na sobie jak najładniejsze.

No i nie wiadomo: wolno wybijać szyby czy też nie wolno? Tak jak z tą „telewizyjną" mąką: można dosypywać gipsu czy też nie można?

Z żalem przyznajemy się, że nas tego rodzaju ambiwalencja nie trapi. Czasem trzeba zajmować stanowisko jednoznaczne. A co na to powiedziałby sam czcigodny Jan Kamyczek?

DANE LICZBOWE

Wilhelm Szewczyk („Życie Literackie") w korespondencji z Wilna wspomina o gazecie polskiej „Czerwony Sztandar", dodając, że ma 35.000 nakładu, z czego ok. 10.000 sprzedaje się w Polsce. W tym samym czasie „Życie Warszawy" informuje, iż wspomniany dziennik ma 70.000 egzemplarzy nakładu, z czego ok. 6.000 sprzedaje się w Polsce.

I bądź tu mądry: które dane są wiarygodne? A może i w tym wypadku należy stosować średnią arytmetyczną?

JAN OLECHNO

W poszukiwaniu mecenasa

Dalszy ciąg ze str. 1

M. GAŁKIEWICZ — Fakt, że Łódź jest pozbawiona form przestrzennych nie wynika z niemożności środowiska plastycznego. Tylko z konieczności musi ono zadowalać się ekspozycją prac na wystawach. Nie istnieje natomiast żadne zapotrzebowanie na twórczość plastyczną ze strony władz miasta, ze strony kierownictwa przemysłu

Działa się półśrodkami. Maluje się Piotrkowską. Robi się reklamy ścienne głównie na zasadzie: brudne mury trzeba czymś zakryć, najlepiej reklamą. Robi się to niedbale, nie podkładając nawet porządnego tynku. W rezultacie takie reklamy po pół roku wyglądają kompromitująco, szczególnie na domach, gdzie są kominy, z których po kilku tygodniach zacieka sadza. Gdyby za te pieniądze zrobić ścianę ceramiczną, czy choćby sgraffito, to starczyłoby na kilka lub kilkanaście lat. Gdybyśmy obliczyli sumy, które idą co roku na doraźne upiększanie miasta, to okazałoby się, że są to kolosalne pieniądze, z których z korzyścią dla urody miasta można by wiele zdziałać. Łódź jest miastem zapylonym bardziej niż inne • większą rolę odgrywają tu parki i zieleńce. Jestem przekonany, że mogłyby one stać się galeriami sztuki. Tymczasem Łódź sama skazuje się na prowincjonalizm tym właśnie przypudrowaniem, nieumiejętnością zdobycia się na rzeczy trwałe, wartościowe artystycznie, stanowiące dorobek kulturalny miasta.

Otrzymawszy zaproszenie od redakcji zastanawiałem się, jakie są właściwie możliwości zmiany tego stanu rzeczy. Sprawy finansowe na pewno nie są tu najważniejsze. Istnieje tak dobra wola środowiska, tak silna potrzeba wypowiedzi plastycznej w przestrzeni, że środowisko podejmie każdą inicjatywę.

E. MAZURCZYKOWA — Weźmy dla przykładu Sofię. Byłam pełna podziwu dla uroku tego miasta. Nie tylko w śródmieściu, ale również na peryferiach, wszędzie pełno tam małych, intymnych rzeźb. Na pewno nie obciąża to budżetu miasta. Dzisiejsza wielkomiejska architektura jest wszędzie podobna, czy to będzie Warszawa, Berlin, czy Phenian. A właśnie te akcenty plastyczne stanowią o indywidualności miasta, tworząc jego intymny klimat i one to sprawiają, że się to miasto wspomina, zapamiętuje. Notabene Warszawa też nie ma się czym chwalić. Co jakiś czas buduje się tam monumentalny pomnik, a potem jest długo cisza. Ale Łódź, to już kompletna pustynia, nie ma tu na czym oka zaczepić.

Zresztą, jeśli już coś powstanie, to przechodzi takie koleje losu, że formalnie chce się płakać. Na przykład nasz Moniuszko. Był zaprojektowany na ul. Moniuszki, twarzą do słońca, bo tak musi stać rzeźba. Potem przymierzano go to tu, to tam, wreszcie decyzja padła na Park Kolejowy — najgorsze z możliwych miejsce. Nie wiadomo było jak go postawić — twarzą do słońca czy do ulicy Narutowicza. Zdecydowano na słońce i w rezultacie, gdy znikło ze skweru zadrzewienie, pomnik stoi na gołym placu tyłem do bardzo bliskiej ulicy.

Sprawa kosztów. Z naszej strony na pewno nieistotna. Dziś materiał kosztuje pięć albo i dziesięć razy tyle, co praca rzeźbiarza według cennika. Materiał zaś jest istotny, bo półśrodki w postaci np. technik narzutowych, szybko ulegną zniszczeniu, a chodzi przecież o rzeczy trwałe. W grę wchodzi więc ceramika, wykładzina, piaskowiec. Najlepsza wydaje mi się ceramika, bo łatwo ją umyć. A spójrzmy na nasze pomniki — nie myte, czarne, brudne, bez żadnego wyrazu.

M. GAŁKIEWICZ — Szkoda, że nie znaleźli się między nami architekci, urbaniści. Współpraca między plastykami i architektami jest konieczna przy zagospodarowywaniu całych przestrzeni. Zaprojektowanie takiej czy innej rzeźby niczego właściwie na dalszą metę nie rozwiązuje, chodzi o świadome zakomponowanie całych osiedli. Dziś dzieje się tak, że osiedle otrzymuje przestrzeń, jest zagospodarowane, ale na formy plastyczne nie znaleziono miejsca. A przecież już w samym projekcie urbanistycznym zagospodarowania dzielnicy powinno się brać pod uwagę zieleniec, formę przestrzenną.

L. KUNKA — Moim zdaniem trzeba spełnić trzy warunki, aby mogły być realizowane postulaty, o których mówimy. Pierwszym jest baza materiałowa. Sami materiału nie zdobędziemy i muszą nam w tym pomóc zakłady pracy, wielkie zakłady metalowe, kamieniarskie i inne. Miasto musi przyjść z pomocą, by bazę materiałową stworzyć. Druga sprawa to gest ze strony miasta, inicjatywa zabezpieczająca ciągłość przedsięwzięcia i finansową jego stronę, w dowolnej formie ujęte uposażenie plastyka. I wreszcie trzecia sprawa to nawiązanie współpracy z urbanistami. Oczywiście, możemy zrobić w Łodzi jakiś plener, zjazd plastyków z całej Polski — w ciągu 20 lat wykształciliśmy tylu plastyków, że starczy ich prac dla wszystkich miast — i z takiego pleneru uzyskamy 20 rzeźb i 500 obrazów, niewielkim kosztem. Ale przecież nie o to chodzi. Uczestniczyłem w I biennale form przestrzennych w Elblągu, dzięki któremu miasto zostało udekorowane rzeźbą. Ale tam robił kto chciał i stawiał gdzie chciał i to było niedobre. Dziś odbywa się w Elblągu II biennale, już w innej formie. Zaproszono 10 plastyków i zaproponowano im konkretny teren. Taka forma przyniesie na pewno dobre rezultaty. Oczywiście, nie musimy naśladować Elbląga, bo u nas są inne warunki i możliwości, ale jeśli w takim małym mieście znalazła się baza materiałowa i materialna, znalazła się inicjatywa, to Łódź stać chyba na jedno i drugie tym bardziej.

U nas to sprawa mecenasa, którego widzę przede wszystkim w przemyśle. Przecież plenery, o których mowa, są inicjowane i finansowane głównie przez zakłady przemysłowe w terenie. Chyba zakłady łódzkie stać również na sfinansowanie takich przedsięwzięć.

W. BILIŃSKI — Brzydka, kapitalistyczna Łódź, Łódź familiaków i ruder, to również Łódź pewnych ambicji łączenia architektury z plastyką, to Łódź pięknej secesji, sygnałów plastycznych, które przetrwały do dziś. Możemy je dziś oceniać tak czy inaczej, ale na pewno są świadectwem ambicji, jakich dziś darmo by szukać. Nie dając nic w zamian za to, w wandalski sposób dewastuje się secesyjne pałacyki, burzy się wartości nowsze. W „Egzotycznej" na przykład przed laty rozkuto rzeźbę Strzemińskiego. I nie robi się nic — a jeśli nie nic, to bardzo mało. Jedynym znanym mi pozytywnym wyjątkiem jest rzeźba Starczewskiego w gmachu Biblioteki Uniwersyteckiej.

Plastyczną pustynią są osiedla mieszkaniowe. Na przykład Rondo Titowa. W całym wielkim osiedlu nie widać najmniejszej interwencji plastyka. Podobno są w realizacji budynki, użyteczności powszechnej, wyposażone w akcenty plastyczne, realizuje się je niejako „poza opinią publiczną", nawet poza środowiskiem plastycznym.

I wreszcie sprawa najważniejsza. Łódź jest stolicą wielkiego przemysłu — przemysłu lekkiego, który bardziej niż jakikolwiek inny powinien współpracować z plastykami. Tymczasem przemysł lekki nie tylko nie jest mecenasem sztuki, ale nawet na swoim podwórku niezbyt troszczy się o tę współpracę. Na terenie zakładów nie ma śladu działalności plastyka, nigdzie nie pomyślano chociażby o tym, żeby ambitną rzeźbą czy inną formą plastyczną zasygnalizować znak fabryczny. A przecież w gruncie rzeczy nowoczesna fabryka to laboratorium plastyka.

Wróćmy jeszcze do współpracy plastyka z architektem. Poza nielicznymi wyjątkami, potwierdzającymi regułę, nigdzie takiej współpracy na terenie naszego miasta nie widać. A społeczeństwo odczuwa brak tego retuszu miasta, potrzebę jego upiększenia. W okolicach ZOO, za parkiem, w nowym budownictwie jednorodzinnym ktoś ozdobił sobie domek bardzo zabawnymi kiczowatymi rzeźbami. Na osiedlu za Radogoszczem ktoś inny postawił sobie na podwórzu monumentalną rzeźbę. Wyrazem takiej potrzeby są także balkony. Barwne, pstrokate, często nie komponujące się z niczym, ale świadczące o dążeniu do wypełnienia jakiejś luki. Bo ludzie nie chcą by ich osiedla miały wygląd szary, bezpostaciowy.

J. MAZURCZYK — W pasażu ZMP rzeźba dziewczyny przy fontannie stała się ulubionym miejscem wypoczynku łodzian. Notabene kosztowała ona bardzo tanio, bo autor podarował ją miastu, przykład raczej nietypowy. Myślę, że możemy mieć pretensje do urbanistów o to, że planując nowe osiedla nie przewidzieli miejsca na postawienie rzeźby, czy innego akcentu plastycznego. Buduje się nowe dzielnice, przebudowuje stare, powstaje nowe centrum śródmieścia, trwają obecnie wyburzenia na Głównej. Ale przecież w gruncie rzeczy, będą to poszerzone skrzyżowania, nic więcej. Na działalność plastyka nie pozostawiono miejsca. Jest jeszcze inna sprawa, o której może należałoby mówić. Mam na myśli projekty, które zostały zaplanowane, a nie zrealizowane. O ile mi wiadomo istniał projekt postawienia rzeźby przed Teatrem Wielkim, projektowano rzeźbę przed Halą Sportową, ba, nawet w podwórzu Prezydium Rady Narodowej, przed wielką salą konferencyjną. I chyba w innych jeszcze miejscach. Po ukończeniu budowy o projektach plastycznych była cisza, poszły w zapomnienie. Może od tych nie zrealizowanych projektów warto by zacząć?

W 1962 roku w pasażu ZMP obok fontanny ustawiona została rzeźba dziewczyny. Autorem rzeźby jest artysta-plastyk Edward Nowicki. Panna Wodna — jak ją nazwał autor — jest jednym z nielicznych w naszym mieście plastycznych akcentów, o które nam właśnie chodzi. Ta niewielka rzeźba, bez cokołu, nadająca uroku miejscu, w którym się znajduje, powstała w Wilnie, tuż przed wojną. Artyście udało się ocalić ją z zawieruchy wojennej i przywieźć wraz z innymi pracami do Łodzi, gdzie się osiedlił. W 1947 roku rzeźba w liczbie kilkunastu innych została zaakceptowana do ustawienia w mieście.

Notabene dla pasażu ZMP Edward Nowicki przeznaczył początkowo inną pracę, którą jednak komisja uznała za zbyt mało skromną i gorszącą. Wobec tego, w 1959 roku artysta ofiarował miastu Pannę Wodną. Potem przez trzy lata trwały narady, kolejne komisje i próby kilkudziesięciu wariantów ustawienia rzeźby, których żądano od ofiarodawcy. W 1961 roku nastąpił odbiór odlewu, a 22 lipca 1962 roku rzeźba stanęła w pasażu ZMP.

Warto wspomnieć, że Edward Nowicki jest twórcą rzeźb zdobiących park Sienkiewicza: Chłopca z fontanną i Pór roku. Jest także autorem wielu zamówionych, a nie zrealizowanych projektów: fontanny w pasażu ZHP, Syreny przeznaczonej do ustawienia u wylotu ul. Uniwersyteckiej, projektów pomnika Mickiewicza oraz pomnika Zwycięstwa na pl. Zwycięstwa, który to projekt autor bezpłatnie ofiarował miastu i jak twierdzi nie otrzymał w tej sprawie żadnej odpowiedzi nawet negatywnej.

L. KUNKA — Moim zdaniem, tak jak są we władzach miasta ludzie odpowiedzialni za sprawy ekonomiczne, socjalne itd. powinni być również ludzie odpowiedzialni za sprawy estetyki, którzy mieliby obowiązek dbania o to, by się coś w dziedzinie estetyki miasta działo i by to coś było robione z ładem i składem, by było koordynowane z planami urbanistycznymi, by z nimi współgrało. Nasze środowisko jest w stanie wypełnić takie postulaty.

W. BILIŃSKI — Jakie są zdaniem państwa możliwości przełamania impasu, jakie propozycje mogliby przedstawić plastycy, gdyby miasto wyszło z inicjatywą współpracy?

M. GAŁKIEWICZ — Możemy robić wszystko, co będzie potrzebne, ale przede wszystkim chyba rzeźbę przestrzenną, niewielką, 2—3-metrową, z tworzywa takiego jak kamień granit, piaskowiec, odlew żeliwny, elementy spawane. Wydaje mi się, że można by mówić o kosztach już od 50 tys. zł.

E. MAZURCZYKOWA — Nie można zapominać o lokalu. Nie wszyscy z nas, nawet najzdolniejsi mają swoje pracownie, a w naszym klimacie przeważnie trzeba rzeźbić pod dachem. Marzy mi się do tego celu jakaś wielka hala, może pofabryczna, w której moglibyśmy pracować wszyscy. Dodatkową korzyścią byłoby to, że pracownicy tacy jak np. spawacze, mogliby jednocześnie pracować dla kilku osób. Można by oczywiście realizować prace i poza Łodzią, w innych miejscowościach, ale to powoduje dodatkowe trudności transportu. Byłam kiedyś na plenerze w Suchedniowie, gdzie są ogromne zakłady ceramiczne. Bardzo byłam z tego pobytu zadowolona, ale pracę podarowałam na miejscu, bo nie miałam sposobu, żeby przewieźć ją do Łodzi. A przecież mogła się ona stać własnością naszego miasta.

M. GAŁKIEWICZ — Jeśli mówimy o patronacie zakładów pracy, to musimy pamiętać o formalnej stronie zagadnienia. Zakłady muszą mieć jakąś formę prawną dla przekazywania pieniędzy. Gdybym ja decydował, to stworzyłbym bank pod egidą jakiejś instytucji, czy stowarzyszenia, aby na jego konto zakłady mogły przekazywać pewne sumy. Należałoby powołać do życia komisję złożoną z architektów, plastyków, przedstawicieli władz miejskich i przemysłu. Komisja ta decydowałaby o tym, co i gdzie powstanie. Ale w takiej komisji głos decydujący musieliby mieć twórcy, żebyśmy się za 10 lat nie przestraszyli tego, co zrobiliśmy.

W. BILIŃSKI — Spróbujmy więc podsumować naszą dyskusję. Łódzkie środowisko plastyczne dysponuje ogromnymi możliwościami twórczymi. Działalność taka przyniosłaby ogromną satysfakcję twórczą plastykom i awansowałaby nasze miasto pod względem estetycznym, byłaby elementem kultury plastycznej na co dzień. Możliwości mecenatu są w Łodzi zupełnie oczywiste. Przemysł lekki musi koegzystować ze sztuką nowoczesną i plastyką we wszystkich jej formach, od tradycyjnych po najbardziej nowoczesne i to jest jego święty obowiązek. Fakt, że się w Łodzi w tej dziedzinie nic nie robi, wskazuje na brak zainteresowania i ambicji w sprawach ozdobienia miasta trwałymi wartościami plastycznymi. Istnieje również baza materiałowa. Bo jeżeli prof. Kunka mógł robić swoją rzeźbę plenerową w Elblągu, to na pewno taki sam materiał czeka na niego u „Strzelczyka" czy w innych zakładach. Jedyne więc czego nam brakuje, to inicjatywa. Brakuje jej nie twórcom, lecz ludziom odpowiedzialnym za estetyczny wygląd miasta. Miasto rozbudowuje się i przebudowuje, nawiązanie kontaktów: plastyk — architekt i stworzenie możliwości twórczych w tej dziedzinie łódzkim plastykom — to sprawy palące, domagające się pilnego rozwiązania.

Notowała: TERESA WOJCIECHOWSKA

Łódzka secesja

ul. Piotrkowska 43

Pałacyk secesyjny — Wólczańska 31 — hall.

ul. Sienkiewicza 6

ul. Piotrkowska 128

Rys. W. Kondek

WALDEMAR BABINICZ

Co z tą etnografią?

W sprawie modnych fryzur damskich zabierają głos najwybitniejsi koneserzy z naszym rodakiem Antoinem na czele. Podobnie rzecz się ma z toaletami. O mini—spódniczkach wypowiadali się światowej sławy krawcy, politycy, pedagodzy. A z etnografią jest odwrotnie. O etnografii najczęściej mówią laicy, wybitni specjaliści milczą.

W ub. roku zabierali głos na łamach naszej prasy różni nieznani szerokiemu ogółowi publicyści, nawet pono i jeden magister etnografii. Wszyscy w czambuł potępili tę dyscyplinę nauk. Że już się przeżyła, że nie ma perspektyw, że wszystko, co było do zbadania, zostało już dawno i po wielekroć zbadane i, że wobec tego zwińajmy panowie, manatki i przenieśmy się do innych dyscyplin, a niedobitki etnografii ożeńmy z czymś innym. Może z archeologią? A może z socjologią? A może z historią sztuki? Do wyboru, do koloru. Są posażne narzeczone, są i narzeczeni z dobrze zaopatrzonymi safe'ami.

Przed wojną w pewnym majątku w powiecie włoszczowskim gospodarował rządca, kuty na cztery nogi cwaniak wodził za nos dziedzica, kompletnego ignoranta w rolnictwie. Przyszedł ci ów rządca pewnego dnia do chlebodawcy i tak oto prawi: „Wszystkośmy, panie dziedzicu, z tego majątku wyciągnęli, ziemia też nie może rodzić w nieskończoność. Nic tu po nas. Trafia się nam kupiec, możemy mu majątek odprzedać. Głupi, bo głupi, bo ziemia jest już wyjałowiona, ale trochę pieniędzy nam da". Pan dziedzic przystał, prysnął za granicę a rządca przez podstawionego kumpla nabył za bezcen piękny majątek.

Do dziś te historyjkę opowiadają sobie chłopi w moich stronach, nabijają się z dziedzica, podziwiają spryt oficjalisty.

Wierzyć się nie chce, że tylu było dawniej naiwnych ludzi. A dziś? Twierdzą niektórzy faceci, że nic już nie ma do zdziałania na polu etnografii. Są i tacy, którzy inicjują sekcje, w raczej wiwisekcje. Na żywym organizmie robią sobie eksperymenty. Przez dwa pierwsze lata studiów etnografowie studiują z archeologami. Jedni i drudzy uczą się archeologii i etnografii, a nauczywszy się w ciągu owych dwóch lat, rozchodzą się i każdy wraca do swojego wózka. Jakie są rezultaty? Nikt nie wie. A raczej mówi się powszechnie, że ożenek nie był dobrany, że niewypał, że trzeba spróbować innych skojarzeń. Pewne jest, że archeologowie in spe niewiele wskórali, natomiast słyszy się, że etnografia pozyskała zapalonych adherentów.

A tymczasem katedry etnografii w Lublinie, w Toruniu i w innych ośrodkach pełnią już funkcje pomocnicze, inne ograniczyły przyjęcia do minimum. Czy może dlatego że mamy za dużo etnografów? Któż to wie? Prawda, że niektórzy magistrowie etnografii wylądowali szczęśliwie w organach naszej gościnnej, przytulnej Milicji Obywatelskiej. Prawda też, że w placówkach, które wyłącznie są powołane do służenia tej dyscyplinie, jak muzea etnograficzne, instytuty, itp. pracują ludzie z etnografią nie mający nic wspólnego. I nikt nie potrafi wytłumaczyć dlaczego. Zasada „właściwy człowiek na właściwym miejscu" obowiązuje, owszem, ale co innego teoria, a całkiem co innego praktyka. J. Przyboś twierdził na Kongresie Kultury, iż bywa i tak, że jeden człowiek jest równocześnie na sześciu miejscach. Dodajmy: nie zawsze na właściwych.

Bolączki, trudności, nieporozumienia zdarzają się wszędzie, mogą się więc zdarzać i na polu etnografii. Zadziwia jednak bierna postawa naszych wybitnych etnografów. Dlaczego nie zabierają głosu, dlaczego nie walczą, nie upominają się, nie wysuwają przekonywających argumentów?! Prawda, że z szeregów etnografów ubyło nie mało znakomitości. Ale jeszcze w każdym ośrodku błyszczą wybitne nazwiska, a poza tym wychowaliśmy już nową kadrę, zdolną, ambitną, twórczą. Czyżby i ona uznała, że milczenie to złoto? A może tak jest pochłonięta pracą dydaktyczną i naukową, że nie ma czasu na kruszenie kopii? Ejże!

A gdyby nawet tak było, jest przecież jeszcze Polskie T-wo Ludoznawcze, które od osiemdziesięciu z górą lat przychodzi w sukurs polskiej etnografii i, wolno sądzić, że działalność PTL przysporzyła naszej etnografii niemało splendoru, że przypomnę tylko ogromny dorobek edytorski z wiekopomną reedycją Kolberga na czele, poważną ilość prac naukowych, atlasów, roczników znakomitego LUDU, etc. I zjazdy PTL odbywające się raz na trzy lata, ciekawe, płodne, wnoszące z reguły wiele cennych, nowych materiałów poznawczych.

Wśród nich ostatni, łódzki, odbyty w październiku br., arcyciekawy ze względu na tematykę sesji naukowej poświęconej niemal wyłącznie problematyce badań współczesności. Oto inicjatywa godna najwyższego uznania, notabene inicjatywa ośrodka łódzkiego. Niemal wszystkie referaty wygłoszone przez młodych naukowców, w szczególności omawiające próby badań przenikania kultur miejskiej i wiejskiej, o czym Łódź właśnie ma niemało do powiedzenia.

Kiedy piszę te słowa, doszła mnie hiobowa wieść o śmierci znakomitego uczonego, kierownika Zakładu Muzyki Ludowej UW, kierownika pracowni badania muzyki ludowej PIS PAN, b. kierownika Archiwum Fonograficznego w Poznaniu, niestrudzonego badacza folkloru muzycznego, wybitnego specjalisty w dziedzinie etnografii muzycznej, Mariana Sobieskiego. Znaliśmy i ceniliśmy go wszyscy. Strata niepowetowana. Chylimy czoła nad jego trumną, a równocześnie myślimy z niepokojem: kto odziedziczy pałeczkę? Ilu następców Sobieskiego wyszkoliły nasze katedry we wszystkich ośrodkach naukowych w kraju? Na Zjeździe łódzkim prof. Prüferowa, twórczyni wspaniałego muzeum w Toruniu biła na alarm. Coraz mniej ludzi zajmuje się muzyką, tańcem ludowym, jest obawa, że — zwłaszcza teraz po śmierci prof. Sobieskiego — będzie jeszcze gorzej.

I znowu ciśnie się na usta pytanie: dlaczego milczy zasłużona kadra etnografów?

Wróćmy jednak do T-wa Ludoznawczego. Skupia ono obok pracowników nauki ofiarnych działaczy społecznych z prawdziwego zdarzenia, których nikt nie może posądzać o korzyści osobiste. PTL ma w naszym kraju poważne zasługi, ogromne osiągnięcia na polu badań naszego folkloru. Naukowcom przychodzą z pomocą działacze terenowi, ci zwłaszcza, którzy doceniają wagę pielęgnacji kultury ludowej, przekazywanie następnym pokoleniom wielkich skarbów narodowej kultury.

PTL utrzymuje się z dotacji państwowych, ze składek członkowskich, z wydawnictw. Posiada poważny majątek: bogaty księgozbiór. Ze względów personalnych siedziba władz Towarzystwa mieściła się dotychczas we Wrocławiu. Zjazd w Łodzi dokonał jednak wyboru nowych władz, wydarzenie w dziejach PTL niemal historyczne. Do zarządu weszli w większości ludzie młodzi, energiczni, pełni inicjatywy. Sprawę wyboru prezesa odłożono „na później". Wszystko jednak wskazuje na to, że prezydium mieścić się będzie w Łodzi, jeśli oczywiście prof. Zawistowicz-Adamska przyjmie ofiarowaną jej prezesurę. (Bardzo Pania Profesor na to namawiam!). Ponieważ zastępcą sekretarza generalnego został dr Kwaśniewicz, młody, obiecujący naukowiec z Krakowa, więc wszystko wskazuje na to, że Łódź i Kraków odegrają w najbliższych latach decydującą rolę w dalszym rozwoju Polskiego T-wa Ludoznawczego. Wiec ej: wskażą polskiej etnografii właściwe drogi, uchronią ją od marazmu, obronią przed niesłusznymi atakami i przekonają kogo należy, iż „etnografia nie jest czymś szczątkowym", jak oświadczyła mi pewna osobistość, dowiedziawszy się, że rezygnuje z atrakcyjnej imprezy na korzyść Zjazdu łódzkiego.

Przypadek zrządził, iż łódzki Zjazd PTL odbywał się dokładnie w pierwszą rocznicę Kongresu Kultury Polskiej. Pamiętamy wszyscy przebieg Kongresu, atmosferę na nim panującą, referaty, dyskusję, uchwały. Żyjemy po znakiem realizacji tych uchwał, oczekujemy z niecierpliwością zapowiedzianej księgi pamiątkowej, ale pamiętamy najbardziej zasadniczą dewizę: kulturę tworzy cały naród, ludzie mieszkający we wszystkich zakątkach kraju. Do rozwoju jej przyczynia się niewątpliwie działalność PTL. Pamiętają o tym członkowie, pamiętać winien nowo obrany zarząd i nasz resort kultury. Jesteśmy za zmianami, jesteśmy za ulepszaniem treści i form, ale działajmy ostrożnie, aby nie uronić nic z istotnych wartości.

I, na litość, skończmy z rozgrywkami personalnymi. Nie te lata, nie ten teren.

I dlatego cieszę się, że Zjazd zakończył się pięknym akcentem: uczczeniem wieloletniej działalności naukowej pełnej energii, ogromnie zasłużonej prof. Zawistowicz-Adamskiej.

KONRAD FREJDLICH

Biała dżuma

Swiat ludzi chorych jest zawsze światem smutnym i byłoby dziwne, gdyby się działo inaczej. Ale nawet w najcięższej przypadłości istnieje zawsze iskierka nadziei.

Wszedłem w ten świat zupełnie incognito, przebrany w biały kitel lekarski, wiedząc doskonale, że wdaję się w przygodę bardziej okrutną niż ciekawą. Zupełnie incognito więc, powtarzam, wdarłem się na ten wycinek świata chorób, który zajmuje suchotnicze królestwo białej dżumy. Tę alegoryczną nazwę otrzymała w średniowieczu gruźlica, która w odróżnieniu od błyskawicznej czarnej dżumy czy cholery, równie dokładnie choć w powolniejszym tempie dziesiątkowała ludzkość. Z lekarskiego punktu widzenia gruźlica jest dziś czymś już zupełnie innym niż jeszcze choćby dwadzieścia lat temu: w zdecydowanej większości przypadków daje się całkowicie wyleczyć, choć nie jest to takie łatwe, gdyż wymaga żelaznej dyscypliny od pacjenta w przeciągu stosunkowo długiego okresu czasu. Proces uzdrawiania trwa około dwóch lat. Pomimo optymistycznych rokowań gruźlica wciąż jeszcze sieje spustoszenie. Dane szczegółowe systematycznie przynosi rocznik statystyczny. Wybieram jedną tylko liczbę, ale najbardziej wymowną: co roku śmierć zabiera 10.000 chorych na gruźlicę. Przyznaję, że nie wiem, ile ta liczba, tak przeraźliwie wyrazista, znaczy w długich kolumnach wszystkich statystycznych zgonów w Polsce. Wiem tylko, że ci ludzie z podziurawionymi płucami często mogli jeszcze i powinni żyć. To nie tylko moje własne wrażenie, wyniesione z tygodniowego pobytu w tamtym zbolałym świecie, to także, a może przede wszystkim opinia lekarzy, którzy znają się na tych sprawach lepiej ode mnie.

Pierwszy mój kontakt z tym światem był więcej niż brutalny. Jako przepustka posłużył obwiedziony czarną obwódką nekrolog zamieszczony w poczytnym dzienniku. Tekst suchy, zabrakło nawet tego tradycyjnego zwrotu „w głębokim żalu", bardziej przypominał komunikat niż nekrolog, nieprzyjemnie mnie to uderzyło. Epitafium żony i matki.

Siostra w poradni przeciwgruźliczej na Bałutach powiedziała:

— Znałam tę kobietę. Dwa tygodnie temu odwoziłam ją do szpitala w agonalnym stanie.

Czekała na dalsze pytania. Milczałem, zbierając myśli. W agonalnym stanie? Jakże to możliwe w kraju, gdzie od wielu lat obowiązuje ustawa o zwalczaniu gruźlicy zapewniająca każdemu bezpłatne leczenie? Doktor Irena Szustrowa nie dziwiła się memu zdziwieniu. Poprosiła o kartę choroby. Pochyliliśmy się oboje. Na schematycznym rysunku worków płucnych ręka nieznanego lekarza zaczerniła niemal całe pole.

— Prątkowała jak maszyna — objaśniła obrazowo pani doktor. I zaraz: — Proszę spojrzeć tutaj.

Przeczytałem: „Pacjentka kategorycznie odmawia zgody na leczenie szpitalne". Uwaga ta jeszcze kilkakrotnie pod różnymi datami znajdowała się w aktach. Była tak że jedna jedyna informacja o pobycie w szpitalu. I przypis: „Chora na własne żądanie przed czasem wypisała się z zakładu".

— Ale dlaczego?

Wydało mi się to działaniem wbrew instynktowi samozachowawczemu, na wpół samobójstwem.

— Siostra tam jeździła, proszę opowiedzieć — powiedziała pani doktor.

Nie, ta pacjentka chciała żyć, bo chyba chce żyć ten, kto troszczy się o ziemskie sprawy. Jej mąż, ten, który do spółki z córką umieścił nekrolog, jest także pacjentem poradni. Na jego karcie chorobowej czerwoną kredką wymalowano dwie litery: „AL". Alkoholik. Kiedy żona przebywała w szpitalu wyniósł z domu połowę rzeczy i sprzedał na wódkę. Przerwała więc leczenie, aby ocalić choć resztę dobytku.

— Kiedy ją odwoziłam po raz ostatni do szpitala — zakończyła siostra — tak słaba, że dawałam jej kilka godzin życia, zwierzyła mi się, że rano tego dnia mąż ją skatował.

Sądziłem, że to odosobniony przypadek. Ale wtedy otworzyły się drzwi i do gabinetu weszła młoda, elegancko ubrana kobieta. Płakała. Nie była pacjentką, choć w każdej chwili może się nią stać ona sama i dwuletnie dziecko. Ojciec rodziny, człowiek niespełna trzydziestoletni, od kilku miesięcy choruje na gruźlicę. Materialnie są zabezpieczeni, ona pracuje, on otrzymuje zasiłek chorobowy. Najpierw korzystał z pomocy poradni, wyjechał nawet do sanatorium w Szklarskiej Porębie. Ale już po dwóch tygodniach zjawił się w Łodzi. Twierdził, że został wyleczony, potem przyznał, że zbiegł z zakładu, bo mu się tam nudziło. Przywiózł nieprzystojne zdjęcia, które podarła. Obiecał poprawę. Zaklinał się na wszystkie świętości, że leczy się ambulatoryjnie, przyniósł do domu cały słoik pastylek, ale zauważyła, że ich nie ubywa. W poradni rzeczywiście był: w portfelu męża znalazła cały plik niezrealizowanych recept z kilku miesięcy. W tym czasie pił już na dobre. Ostatnio zniknął z domu. Spotkała go zataczającego się przy kiosku z piwem w towarzystwie jakichś młodych mężczyzn. U jednego z nich zamieszkał, mieszkanie ma opinię pijackiej meliny.

Kobieta opowiada to wszystko z namysłami, robi przerwy, czasem urywa wpół zdania.

— Nie przyszłabym tutaj — usprawiedliwia swoją wizytę — bo już postawiłam krzyżyk na to małżeństwo. Tylko żal mi człowieka. Jest przecież młody, mógłby jeszcze pożyć. Teraz, kiedy się związał z pijakami, powtarza tylko: I tak do dołu, i tak do dołu. Pieniądze go zdeprawowały, ten zasiłek. Powiada czasem: A bo mi źle. Jak by mnie wyleczyli, musiałbym iść do roboty, więc co za pożytek z tego leczenia.

Co może zrobić poradnia? Może się zwrócić do stacji sanitarno-epidemiologicznej, aby umieściła pacjenta przymusowo w szpitalu. Ale kiedy stamtąd ucieknie, albo też, co się zdarza, zostanie karnie wypisany za picie wódki na oddziale lub za jakąś chuligańską awanturę, poradnia będzie musiała spokojnie się temu przyglądać, bo **nie ma u nas ani jednego oddziału dla alkoholików chorych na gruźlicę, choć postulaty takie pod adresem Ministerstwa Zdrowia zgłaszają lekarze na każdym zjeździe ftizjatrycznym.** Alkoholicy stanowią mniej więcej czwartą część wszystkich chorych na gruźlicę chroników. Wskutek niesystematycznego leczenia wytworzyła się u nich oporność na klasyczne środki farmakologiczne, można ich odprątkować tylko drogimi i niezbyt bezpiecznymi lekami z rezerwy, sprowadzanymi za ciężkie dewizy. Ponieważ leki te wywołują niekiedy działanie uboczne niezbędna jest terapia szpitalna. Jest to prawdziwy stosunek błędnego koła, gdyż właśnie ci pacjenci najczęściej uchylają się przed leczeniem szpitalnym.

Jak sobie radzą? Aby wyrobić sobie pełniejszy obraz wraz z siostrą Bielską, która od kilku lat zbiera wywiady środowiskowe o gruźlikach w dzielnicy Bałuty, wsiadłem w samochód, aby odwiedzić mieszkania pacjentów systematycznie uchylających się od leczenia. Mieliśmy marszrutę ściśle wyznaczoną kierując się przy wyborze wizyt nie tyle natężeniem aspołecznej postawy chorych, ile odległością mieszkań od przychodni. Z samochodu można korzystać raz w tygodniu, trzeba więc było tak wyznaczyć trasę, aby odwiedzić przede wszystkim tych pacjentów, do których jest najtrudniejszy dojazd. W pozostałe dni siostra Biel-

WŁODZIMIERZ STOKOWSKI

Mister Radomska

Za Kamieńskiem nurkujemy w kłębiastą mgłę i drobną mżawkę. Wilgotna wstęga szosy odwija się przed nami, jakby z ogromnego walca z waty i miękko kładzie się pod koła wołgi. Pęd porywa liście i rozkłada je za wozem w zgniłożółty wachlarz. Silnik szumi monotonnie, jest ponurawo i chłodno. Jesień. Mijane krajobrazy nasuwają jakieś ulotne skojarzenia, myśl leniwie krąży wokół doznanych wrażeń, to znów odbiega w niezmierzoną dal. Milczymy obaj — kierowca wołgi i ja.

Wreszcie na którymś tam kilometrze kierowca mówi:

— Taki Dom Kultury to dla Radomska wielka rzecz. Widział pan, tam nawet ludzie ze wsi ciągną, jak do PEDETE. Przed wojną to w takim Radomsku musiało być cholernie nudno żyć. Teraz teatry, kina, Dom Kultury. Ładny budynek. A ta sala teatralna, co?

— Tej sali — odpowiadam — pozazdrości Radomsku niejeden teatr zawodowy w Polsce. Zobaczy pan.

I znów długie milczenie. Ale myśl raz wprowadzona na temat drąży go ze wszystkich stron, kształtuje w formę reportażu. Sala widowiskowa. Rzeczywiście bardzo duża i bardzo ładna. Amfiteatralna, 618 miejsc, oprawa plastyczna gustowna, smaczna, wielka scena o powierzchni ponad dwustu metrów kwadratowych, zapadnia, pomieszczenie na orkiestrę jak w teatrze z prawdziwego zdarzenia. Automatyczny regulator reflektorów scenicznych, świateł na scenie i na widowni. Jedyny Dom Kultury w Polsce z takim urządzeniem. Akustyka — jak mnie zapewniano — znakomita.

1.

Pan Maciej Ziembiński, kierownik Wydziału Kultury Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Radomsku, wiąże z tą salą widowiskową szerokie plany działalności kulturalnej. Więc będzie tu występował Teatr Dramatyczny im. Adama Mickiewicza z Częstochowy, mocno związany z Radomskiem, Teatr Ziemi Łódzkiej, tutaj usytuuje się drugie stałe kino w Radomsku, tutaj będą się odbywać poranki muzyczne dla młodzieży, połączone z nauką historii muzyki, tu będzie koncertować znana amatorska Międzyspółdzielcza Orkiestra Symfoniczna z Radomska, radomszczański chór Towarzystwa Śpiewaczego im. Moniuszki, popularny kabaret „Nietoperz", zespół big-bitowy z Radomska „Zygzak", zdobywca siódmego miejsca na ogólnopolskim przeglądzie zespołów big-bitowych w Jeleniej Górze. Tutaj wreszcie będą się odbywały wszystkie przeglądy amatorskich zespołów artystycznych w skali powiatu, województwa, a być może i kraju. Już w dniach 9 i 10 grudnia bieżącego roku odbędzie się tutaj wojewódzki przegląd spółdzielczych zespołów artystycznych.

Radomszczański aktyw kulturalny nosi się z zamiarem stworzenia teatru amatorskiego.

— Jest to zupełnie realne zamierzenie — mówi pan Ziembiński. Co więcej, chcemy, żeby to był teatr propozycji, teatr poszukujący nowych form wyrazu artystycznego. I taki teatr stworzymy.

Brawo! Tym pięknym zamierzeniom można tylko przyklasnąć.

2.

W trzydziestym dziewiątym roku było tu, w Radomsku, jedno kino, miejska biblioteka z paroma tysiącami książek, trzy gimnazja i... I to wszystko. Więc cóż za porównanie? Dziś jedenaście szkół średnich i zasadniczych, cztery technika, dwa stałe kina, otwarty w tym roku, nowoczesny Dom Rzemiosła z Klubem Rzemiosł, Powiatowy Dom Kultury otwarty siódmego listopada, występy dwóch teatrów zawodowych, z Częstochowy i z Łodzi, Biblioteka Miejska ze 150 tysiącami woluminów — dla Radomska i powiatu, własne zespoły artystyczne na dobrym poziomie, dziesiątki imprez kulturalnych. To mało?! A, jeszcze w grudniu bieżącego roku oddanie do użytku następnej placówki kulturalno-oświatowej: nowoczesnego Domu Nauczyciela wraz z pięknym Klubem Nauczyciela.

Wcale nie skłamię, jeśli powiem, że w Radomszczańskiem mocno rozbudzono tęsknoty kulturalne, drzemiące w mieszkańcach miasta i powiatu, i że zaspokaja się je w sposób energiczny. Choćby taki przykład: Na sztukę „Los człowieka", z którą przyjechał do Radomska Teatr Ziemi Łódzkiej, rozprzedano bilety błyskawicznie szybko. Więc może by zaryzykować drugie przedstawienie? Proszę bardzo. W przeciągu czterech dni sprzedano czterysta biletów!

Radomsko i jego powiat tętnią życiem kulturalnym. To wcale nie bajka i wcale nie hurraoptymizm. To jest prawda. Tylko trzeba tam pojechać.

3.

Nowo otwarty Powiatowy Dom Kultury w Radomsku jest dumą miasta i powiatu. I to też jest prawda. Nazajutrz po otwarciu obejrzało go i zwiedziło ponad cztery tysiące mieszkańców Radomska i powiatu. W Radomsku byłem w piątek, dziewiątego listopada. Dzień targowy. Widziałem na własne oczy, jak z rynku ciągnęły do Domu Kultury dziesiątki mieszkańców wsi. Mężczyźni z dziećmi kobiety wiejskie z koszami w rękach, dorastająca młodzież z okolicznych wsi. Czy wszystkich gnał tu głód doznań kulturalnych? To byłaby przesada. Część przyszła tu z ciekawości, ale większość — jak zdążyłem się zorientować z rozmów — szła tu z głębszych pobudek obejrzeć swój Dom Kultury. Niemniej i ta ciekawość też o czymś świadczy.

4.

Powiatowy Dom Kultury w Radomsku jest wręcz imponujący. W Polsce są tylko dwa takie nowoczesne domy kultury: w Oświęcimiu i w Radomsku, z tym, że radomszczański ma lepsze rozwiązania funkcjonalne. Ponadto — jak już wspomniałem — jako jedyny w Polsce ma automatyczną regulację świateł na sali widowiskowej. Dwa kable wysokiego napięcia na wypadek awarii jednego z nich, własna akumulatornia prądu stałego — w razie awarii obu kabli wysokiego napięcia, pięć tysięcy punktów oświetleniowych!

Przed Domem duży basen dekoracyjny, wyłożony artystyczną mozaiką i podświetlony 140 punktami świetlnymi. Artystyczna mozaika zdobi również frontalną ścianę budynku. Jest podświetlona trzema kasetonami i dwiema kolumnami świetlnymi. Plastyczne efekty tej świetlnej kompozycji można ocenić gdy zmrok zapadnie.

Wnętrze bardzo obszerne i funkcjonalne, bogata oprawa plastyczna. W jednej z ogromnych sal, w której usytuuje się bibliotekę, wystawiają swoje prace radomszczańscy amatorzy fotograficy. Wiele z eksponowanych fotogramów mogłoby się śmiało znaleźć na niejednej wystawie w Łodzi. W innym obszernym pomieszczeniu, przeznaczonym na salę prób radomszczańskiej Międzyspółdzielczej Orkiestry Symfonicznej, wystawiają swe prace plenerowe, o tematyce radomszczańskiej, łódzcy malarze. Są tam płótna Zenona Liberskiego, Wasiołka, Szonerta, Skwarczewskiej, Hołówki i inne. Po zakończeniu wystawy część z nich zakupią miejscowe instytucje i zakłady pracy. Na parterze w bardzo nowoczesnym wnętrzu, funkcjonuje już kawiarnia PSS.

Zagospodarowanie Domu jest jeszcze w stadium organizacyjnym, ale już wkrótce zatętni tu życie. Przecież w piątek dziesiątego listopada, więc zaledwie na trzeci dzień po otwarciu Domu, w sali wykładowej odbywała się już narada gospodarzy klubów RUCHU z powiatu oraz kierowników bibliotek i świetlic gromadzkich. Na naradzie, którą prowadził kierownik Poradni Kulturalno-Oświatowej przy Wydziale Kultury Prezydium PRN w Radomsku, p. Mirosław Kulak, omawiano sprawy organizacyjne w pracy KO oraz gorąco dyskutowano nad doborem repertuaru na XIV Ogólnopolski Konkurs Recytatorów. W naradzie brał również udział zastępca dyrektora Rejonowego Oddziału RUCHU w Radomsku, p. Tadeusz Bartosik.

5.

Nie ulega wątpliwości, że już sam fakt istnienia takiego obiektu kulturalnego determinuje twórcze inicjatywy, stwarza perspektywy rozwoju pracy kulturalno-oświatowej na szerszą skalę. Jak to wywnioskowałem z licznych rozmów, społeczeństwo radomszczańskie wiąże z Domem Kultury wielkie nadzieje i oczekuje od swoich działaczy kulturalnych wielu nowych form pracy w dziedzinie kultury i oświaty.

O dużych zamierzeniach miejscowego aktywu wspomniałem już wcześniej. Dodam jeszcze, że w radomszczańskim PDK powstaną liczne kółka zainteresowań, więc: fotograficzne, filatelistyczne, filumenistyczne, plastyczne, baletowe i inne. I to w trzech grupach: dla dzieci, młodzieży i dorosłych. Że działające już od dawna Społeczne Ognisko Muzyczne zostanie przeniesione do gmachu Domu Kultury i w przyszłości zostanie przekształcone na podstawową i średnią szkołę muzyczną. W Domu Kultury rozwinie szeroką działalność poradnia pracy kulturalno-oświatowej dla całego powiatu. Że zorganizuje się tutaj szereg kursów, obejmujących swym zasięgiem przeróżne dziedziny naszego życia, że będą się tutaj odbywały odczyty, prelekcje i dyskusje o urozmaiconej tematyce, także wystawy itp., itp.

Dom Kultury stworzył również realne możliwości na przyciągnięcie do konstruktywnej pracy dość licznej grupy młodych twórców oraz ujęcie tego środowiska w pewne ramy organizacyjne. Rolę organizatora tej grupy młodych poetów obejmie p. Czesław Kałkusiński, znany radomszczański działacz kulturalny i autor tekstów do kilkunastu pieśni partyzanckich z okresu walki z hitlerowskim okupantem. Pragnę w tym miejscu podkreślić, iż p. Kałkusiński wydał zbiorek poezji okupacyjnej pt. „Echa leśne", i że w antologii poezji żołnierskiej XX wieku, która już w grudniu bieżącego roku ukaże się na półkach księgarskich w wydawnictwie MON pt. „Poeci — żołnierzom", obok twórczości Władysława Broniewskiego będzie również szeroko reprezentowana twórczość p. Kałkusińskiego.

6.

Otwarcie Powiatowego Domu Kultury w Radomsku było wielkim wydarzeniem kulturalnym na ziemi radomszczańskiej. Że wspomnę tylko, iż w uroczystości otwarcia PDK wzięło udział jedenaście tysięcy mieszkańców miasta i powiatu!

W zakończeniu pragnąłbym jeszcze podkreślić, iż problemy związane z powstawaniem tej pięknej inwestycji kulturalnej znajdowały się nieustannie w centrum uwagi Komitetu Powiatowego Partii, władz administracyjnych i całego aktywu miasta i powiatu. Że przy budowie Domu Kultury pracowali szczególnie ofiarnie: majster Radomszczańskiego Przedsiębiorstwa Budowlanego — Józef Adamkiewicz, kierownik budowy — Alojzy Knychalski i dyrektor RPB — inż. Nikodem Frieman, który poświęcił wiele swego wolnego czasu, pracując fizycznie przy montażu skomplikowanych fragmentów wewnętrznych urządzeń Powiatowego Domu Kultury.

I jeszcze jedno. Kierownikiem PDK w Radomsku jest p. Bogdan Szablewski, nauczyciel z zawodu, b. kierownik Klubu Wiedzy Powszechnej.

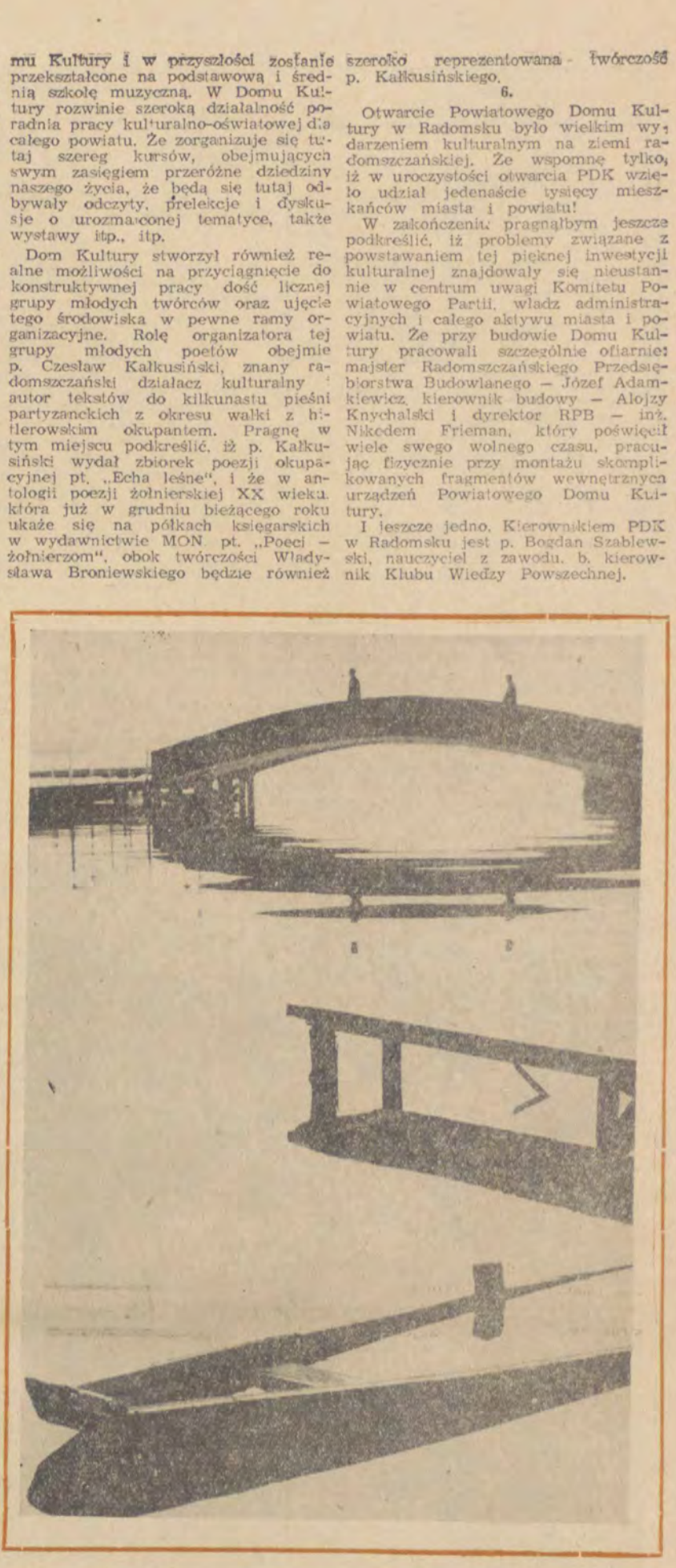

ska wyprawia się na wywiady środowiskowe tramwajem.

Ulica Łagiewnicka. Szyny tramwajowe zostawiliśmy daleko za sobą.

— Tutaj — powiada siostra i zatrzymujemy się przed piętrowym drewniakiem. Wiem, że mamy przeprowadzić rozmowę z pięćdziesięcioletnim mężczyzną, który przed czasem wypisał się ze szpitala. Leczenie ambulatoryjne przerwał po kilku tygodniach, w szpitalu także nie wytrwał długo, praktykuje w dalszym ciągu, może narazić na zarażenie żonę i córkę. Tydzień temu siostra Bielska była już w tym mieszkaniu. Zastała na oścież otwarte drzwi i nieprzytomnego podopiecznego na łóżku. Przestraszyła się, że zasłabł. Był zatruty alkoholem i nie można się z nim było porozumieć. Zostawiła więc kartkę, aby się zgłosił natychmiast do poradni. Ale nie zjawił się.

Teraz nie ma go w domu.

— Przed chwilą się tu kręcił — informuje jedna z lokatorek w drewniaku. — Jak go nie ma, to znaczy, że poszedł na piwo.

Widocznie zna jego zwyczaje.

Jedziemy dalej, siostra jeszcze tu wróci, potrzebna jest stanowcza rozmowa, na kolejną kartkę pewnie też by nie zareagował.

Wciąż ulica Łagiewnicka. Znów piętrowy domek, jeden z tych, które przed wojną biedota stawiała na przedmieściach, wali się to prawie. Należy do pacjentki, która od kilku miesięcy nie zjawiła się w poradni przerwawszy nieukończone leczenie. Jej mąż był takim samym niepoprawnym podopiecznym leczniczy, zmarł siedem lat temu na gruźlicę. Przed śmiercią zdążył zarazić żonę, ta zaś przeniosła chorobę na dzieci. Ma ich szóstkę, większość z nich już pracuje, pozakładali własne rodziny. Przykład ojca nastraszył je, poddały się leczeniu, ich matka jest jak dawniej niepoprawna. Stanowi ciągłe zagrożenie dla swoich najbliższych. Siostra oddycha z ulgą, zastajemy pacjentkę w mieszkaniu. Od razu rzuca się w oczy, że gospodyni niezbyt ceni czystość. Nieporządek i brud są tak widoczne, że kobieta poczuwa się do obowiązku wytłumaczyć z tego. Twierdzi, że wróciła akurat poprzedniego dnia ze wsi. Nie było jej kilka miesięcy. Stara się udobruchać siostrę. Robi to niezgrabnie: świadomie podaje nieprawdziwą datę ostatniej wizyty w przychodni. Wychodzi na to, że nie leczy się od trzech miesięcy, w rzeczywistości dwa razy dłużej. Zagaduje nas, pokazuje w następnej izbie stos ściętych gałązek choiny.

— Ze wsi przywiozłam, siostro — paple bez końca — dorobię sobie na Zaduszki, uplotę wieńce.

Prowadzi nas także do mieszkania córek, które są jeszcze pod jej opieką. Dziewczyny leżą w łóżku pod pierzynami, na podłodze pęta się mały berbeć, prezent od narzeczonego.

— Szczepiony, siostrzyczko, szczepiony.

— Więc jak będzie się pani leczyć? — groźnie pyta siostra.

Przyrzeczenie nic przecież nie kosztuje. Kobieta kiwa głową.

— Ale nie zaraz, zimą, jak będę miała więcej czasu.

— Chyba nie chce pani zarazić wnuka — atakuje siostra.

— Oj, nie siostrzyczko, nie — zaprzecza gwałtownie kobieta.

Chciałbym nieco ochłonąć, ale czeka nas następna wizyta. Parę domów dalej, nawet nie trzeba wsiadać do samochodu. Wiejska chałupa, na podwórku kierat, pod szopą jakiś sprzęt rolniczy. W jedynej izbie oczekuje nas gospodarz. Przez siedemnaście lat pracował w jakiejś firmie budowlanej zajmującej się rozbiórką domów. Zachorował trzy lata temu i zaraził córkę. Młoda dziewczyna, pracuje w fabryce, leczy się ambulatoryjnie, ale nieregularnie, jest kandydatka na chronika.

U niego samego gruźlica nieco się cofnęła, ale w każdej chwili grozi jej nawrót. Także przerwał leczenie. Wskutek niezdolności do pracy otrzymuje rentę chorobową 700 złotych. Ma ziemię, którą uprawia więc to systematyczne trochę grosiwa, zdaje się, zupełnie go zadowala, nie myśli o powrocie do pracy, z tą rentą jest mu wygodnie.

Córka? Co tam córka! Temu, co wynalazł ten przeklęty lek, napashin, z przyjemnością wydrapałby oczy. Patrzy na nas z nienawiścią, jakbyśmy to my byli odkrywcami specyfiku, który uratował życie setkom tysięcy chorych.

— Na żołądek po tym się rozchorowałem.

— Może po prostu zjadł pan coś niestrawnego — dolewam oliwy do ognia.

Podskoczył do mnie, jakby chciał mnie uderzyć. I nagle łagodnieje: może po prostu chce się nas, jak najszybciej pozbyć.

— Dobrze, powiem córce, żeby się zgłosiła — kapituluje.

— No i jak? — pyta siostra — kiedy znaleźliśmy się na ulicy. Milczę.

Potem dom kolejny, wszystko jest tak samo, tylko inna ulica. Mieszkanie czyste, kilkumiesięczne dziecko pod opieką piętnastoletniej dziewczyny.

— Wujek na wsi?

— Na wsi? — dziwi się dziewczyna — przecież nigdzie nie wyjeżdżał. Okazuje się, że troskliwa małżonka ukrywała męża przed poradnią, zawiadamiała o jego dalekich i długotrwałych wyjazdach.

— Wczoraj też wrócił pijany — zbluzgał ciocię — informuje panna.

— A gdzie jest teraz? — pyta siostra.

— Jak to, gdzie? W warsztacie. Wujek ma do spółki warsztat z takim jednym.

Siostra zagląda do papierów, które ma ze sobą. Pacjent w związku z chorobą pobiera wysoki zasiłek chorobowy.

Potem już innymi oczami patrzą na tych chorych, którzy zgłosili się na komisję lekarską, przedłużającą zwolnienia chorobowe.

— Są wśród nich tacy, którzy świadomie dążą do przejścia na rentę i dlatego na wszelki wypadek uchylają się od leczenia, tłumaczy mi doktor Szustrowa. — Kosztują podwójnie, nie tylko ze względu na zasiłki i renty, które są bez mała wyłudzone, choć chorzy po pewnym czasie są rzeczywiście niezdolni do pracy. Wysokie są także koszty ich leczenia, choć wydatki te nie przynoszą żadnego pożytku. Sumy niebagatelne. Leczenie jednego gruźlika kosztuje przeciętnie około 40.000 zł w ciągu roku. Często są to sumy po prostu wyrzucone w błoto.

Uczestniczyłem w kilku takich komisjach i zebrałem materiały pobudzające do smutnych refleksji.

To prawda, że z roku na rok maleje ilość przypadków zachorowania na gruźlicę, że w stosunku do dużego odsetka pacjentów daje dobre rezultaty tak zwane kontrolowane leczenie ambulatoryjne w przychodni, gdzie chorzy spożywają leki pod czujnym okiem pielęgniarek dosłownie patrzących im na ręce, gdyż i tutaj zdarzają się próby oszukiwania lekarzy, ukrywania i niszczenia lekarstw. Ale obok tego wszystkiego wiele tysięcy chorych, korzystając ze wszystkich dobrodziejstw ustawy o zwalczaniu gruźlicy w zakresie zabezpieczenia materialnego, nie czyni ze swej strony nic, aby pozbyć się choroby. Dotyczy to w pierwszym rzędzie jednostek aspołecznych, nałogowych alkoholików, którzy są nieczuli na jakiekolwiek środki perswazji. Gdyby proces chorobowy dotyczył tylko ich samych, można by ubolewać i na wszystko ostatecznie machnąć ręką. Ale chorzy ci są nieustannym źródłem zakażania innych, z ich strony narażeni jesteśmy na groźbę zarażenia się gruźlicą w tramwaju, przy kiosku z piwem, na bazarze, gdzie niektórzy z nich posiadają stragany zarejestrowane na cudze nazwisko, przy saturatorze z wodą sodową, w którego posiadanie weszli w podobny sposób. Jest to niebezpieczeństwo na tyle konkretne, że nie wolno go bagatelizować ani na moment. Zwalczanie gruźlicy pochłania ogromne środki materialne wypracowane przez nas wszystkich. Mamy prawo domagać się, aby nie była to z naszej strony ofiara nadaremna. **I jeśli przymusowe leczenie wkraczałoby zbyt daleko w dziedzinę swobód osobistych obywateli, możemy w każdym razie żądać, aby tacy chorzy złośliwie uchylający się od leczenia, byli przynajmniej izolowani, jak wszyscy chorzy zakaźnie. Pozwalają na to przepisy obowiązującej obecnie ustawy o zwalczaniu gruźlicy, choć praktyka jest inna.** I dopiero stworzenie specjalnych zakładów leczniczych dla jednostek aspołecznych oddali od nas groźbę białej dżumy.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Trochę czerwonego wina

(Fragment powieści)

— No, idziemy, czasu szkoda — rzekł tapicer, łapiąc Koguta za rękę. Kogut wyszedł niechętnie z tłumu i wtedy zauważyłem tego gościa. Stał trochę na uboczu, przyklejony plecami do ściany, jakby się krył, albo czaił, albo miał czarne sumienie. Krótki, złamany nos boksera, wąskie czoło, zapadłe policzki... Patrzył wprost na Koguta i uśmiechał się leciutko wąskimi, bladymi ustami, a potem spojrzał na mnie — może ściągnąłem go wzrokiem — i już wiedziałem, że mnie poznał, że od dawna mnie śledzi, zna każdy mój krok i każdy krok Koguta, z którym łączyła mnie przyjaźń. Miałem takie wrażenie, że ten człowiek wszystko wie o moim życiu, stryjach, szkole, internacie, o matce i ojcu, że jego praca polega na tym, żeby to wszystko wiedzieć, i w odpowiedniej chwili obrócić przeciwko mnie; wydało mi się, że nie ma takiej kryjówki na świecie, gdzie mógłbym się przed nim schować, więc poczułem wściekłość, dławiącą, nieprzytomną, i kiedy patrzył na mnie szparkami zimnych oczu, z nikłym szyderstwem na ustach, zapragnąłem go zniszczyć, zabić, złapać za włosy i trzasnąć głową o mur, i nie spuszczałem z niego wzroku, bezczelnie, wyzywająco, a kiedy przestał się uśmiechać, pociągnąłem Koguta za rękaw, i pokazałem mu tę twarz.

— Zobacz! — powiedziałem głośno — to ten bokser. Ten, co za nami łazi.

Zanim Kogut się spostrzegł, tamten odwrócił się tyłem, powoli, spokojnie, jak jakiś przypadkowy przechodzień znudzony ulicznym widowiskiem, i odszedł leniwie, z rękami w kieszeniach, w mrok ulicy.

— Ty masz głupie przywidzenia — powiedział zimno Kogut. — W głowie ci się musiało pomieszać.

— Nie, to naprawdę ten bokser! — mówiłem gorączkowo. — Chodź, dogonimy go i sam się przekonasz! Sam zobaczysz!

— Co jest? — zapytał tapicer. — Idziemy po to kojko, czy nie?...

— Idziemy — powiedział Kogut. Strącił moją rękę i ruszył do domu. Byłem urażony i nie poszedłem za nimi, ale Kogut odwrócił się i przywołał mnie ręką.

A kiedy weszliśmy do bramy, w której Kogut mieszkał od frontu, jakiś cień wypełznął z podwórka i zawrócił szybko, kryjąc się za występem muru.

Ulman — pomyślałem. — Pan Ulman z kradzionym winem.

Kogut mordował się z otworzeniem drzwi. Puścił tapicera przodem. I do mnie:

— Idź, powiedz Ulmanowi, żeby czekał. Żeby nie wchodził, dopóki stary nie wyjdzie. A jak mu powiesz, to wracaj...

Ciemno było na podwórku, grzasko. Brnąłem po omacku czepiając się chropawych ścian i wypatrywałem Ulmana. Dwa razy upadłem w błocko, aż po kolana, i niewiele brakowało, żebym się przewrócił. Wreszcie zobaczyłem obok puszek na śmieci skulony, nędzny cień.

— Kajtek? — zapytał cicho.

— Tak — aż mnie zemdliło od smrodu rzygowin i przetrawionej wódki.

— Kto z wami przyszedł?

— Jeden gość. Łóżko chce od Koguta kupić. Kogut powiedział, żebyś czekał, aż on wyjdzie.

— Dobra — powiedział Ulman. — Poczekam. Powiedz mu, że mam wino.

— Dobra — powiedziałem. — Wiemy, że masz wino.

— Chcesz pociągnąć? — podał mi śliską, wilgotną flaszkę. Przemogłem wstręt i wypiłem krótki łyk cierpkiego świństwa. Starałem się nie dotykać szyjki ustami i trochę wina spłynęło mi po brodzie.

— Jeszcze! — powiedział Ulman.

— Nie. Wystarczy. Muszę wracać.

— To wracaj.

Oparł się o ścianę i zamknął oczy. Czułem, że coś z nim niedobrze. Lewą rękę, okutaną w szalik, przyciskał do piersi. Na pewno krwawił. Ale póki był tapicer, nic mu nie mogłem pomóc.

U Koguta straszny metlik. Łóżko było na środku pokoju, a w rogu, na ścianie, został po nim tylko czarny, zakurzony ślad. Tapicer odgarniał akurat nie powleczoną pościel i siennik, żeby zbadać sprężyny. Sypało się na podłogę trochę pierza i trochę sieczki z siennika, ale Kogut patrzył na to obojętnie.

— Widzisz — mówił tapicer ocierając ręce w spodnie — sprężyny to ja mogę kupić, ale drzewo jest naprawdę do niczego. Drzewa nie wezmę.

— No, dobrze, to ile za same sprężyny?

— Sto.

— Panie Marciniak, ja panu coś powiem. Daj pan dwie setki, a ja dołożę jeszcze tę komódkę — pokazał na szafę, która podpierała wilgotną ścianę, i z której wygrzebał rano swoją czarną, zeszmaconą marynarkę.

— A co ja z takim trupem będę robił — zaśmiał się tapicer.

Ale podszedł i obejrzał mebel z bliska. Było to dwudrzwiowe pudło, pokryte jeszcze gdzieniegdzie brązowym fornierem. Większe drzwi spaczone od starości, nie chciały się domknąć, a mniejsze wisiały na jednym tylko zawiasie. Miało chyba ze sto lat. Tapicer tak samo myślał, bo powiedział, że z tej szafy nie wykroi się nawet trumny dla żebraka.

— To bierz pan sprężyny — machnął ręką Kogut.

— W porządku — powiedział tapicer. — Zaraz przyślę po to chłopaków i oni przyniosą pieniądze.

* * *

Jak tapicer wyszedł, wyskoczyłem na podwórko po Ulmana. Z początku myślałem, że śpi. Pociągnąłem za mokre, obłocone nogi. Nie drgnął. Wtedy zacząłem go tarmosić za włosy, a on osunął się miękko ze ściany, o którą oparty był plecami, i leżał z głową w śmieciach, na boku, w nienaturalnej, niewygodnej dla człowieka pozycji, nie dając znaku życia. Przestraszyłem się i zawołałem Koguta. Ten inaczej zabrał się do rzeczy. Dźwignął Ulmana za klapy i uderzył parę razy w twarz otwartą ręką, aż się echo odbiło od murów suchym trzaskiem. Ulman otworzył oczy. Zamamrotał coś. Dał się postawić na nogi i dotaszczyliśmy go jakoś do mieszkania. Tu dopiero zobaczyłem jaki on blady a szalik, którym opatrzył sobie zraniona, lewą rękę, cały przesiąkł krwią i był sztywny jak skorupa.

Miałem przy sobie czystą chusteczkę, na której mama, za życia, wyhaftowała zdobnym, różowym ściegiem moje inicjały. Zrobiliśmy mu z tego opatrunek. Miał porządnie rozharatany przegub i chustka szybko nachodziła krwią, więc Kogut obwiązał to jeszcze jakąś czarną, wełnianą szmatą, których miał w mieszkaniu bez liku. Potem obszukał kieszenie Ulmana i nóż do cięcia szkła, wpuścił od razu w dziurawą podłogę. Za podszewką Ulmanowego płaszcza były trzy flaszki owocowego wina.

Ulman wracał trochę do siebie, ale na twarzy był biały jak kreda. Chciał pić. Daliśmy mu wody ze starego imbryka, bo innych naczyń w tym domu nie było; wtedy on do reszty oprzytomniał i wyciągnął zdrową rękę po wino.

— Eh, Ulik, Ulik — powiedział miękko Kogut. — Po co ta cała heca. Tyle krwi za trzy głupie wińska...

Ulman uśmiechnął się z wysiłkiem.

— Cztery — poprawił. — Cztery, bo jedno wypiłem... — pociągnął z butelki i oddał resztę Kogutowi. — A to dla was. Znajta moje charakterne serce.

I znów zapadł w odrętwienie. Zamknął oczy, leżał na podłodze jak trup.

— Trzeba zawołać pogotowie — powiedziałem. — On umrze z upływu krwi.

— Głupi jesteś — zezłościł się Kogut. — Przecież oni zacynkują milicję.

— Dlaczego?

— Frajerze! Ty cholerny frajerze! — podszedł do łóżka, zrzucił na podłogę pościel i rozpruty, wybebeszony słomą siennik.

— Jazda — powiedział. — Trzeba go wygodnie położyć.

Wziął Ulika za ramiona, ja za chude, obłocone nogi. Ułożyliśmy go na sienniku pod ścianą.

Boże, jak ja wtedy się bałem. Jak ja wtedy żałowałem, że nie jestem w internacie że nie leżę w swoim białym, skrzypiącym łóżku pośród tych wszystkich wsiowych, prostych chłopaków, chrapiących głośno spokojnym, uczciwym snem. Jak ja wtedy przeklinałem ten dzień, patrząc na blada, bezkrwistą twarz Ulika, który dogorywał w mroku, a czarna szmata na porżniętych żyłach pęczniała od krwi, i nie była na tyle czarna, żebym tego nie widział... I nic nie mogłem dla niego zrobić, bo przecież lekarz zacynkuje milicję, i Ulman do więzienia pójdzie zamiast do wojska i żal do nas będzie miał, i Kogut wpadnie przy okazji, i ja...

Słuchałem kroków stukających za oknami. Truchlałem na myśl, że zaraz wejdzie milicja z psem, albo ten gość z bokserskim przełamanym nosem, co uwziął się na mnie nie wiadomo za co...

— Masz, napij się — powiedział Kogut.

Złapałem zimną, obłą flaszkę i piłem łapczywie, aż do utraty tchu, i to mi trochę pomogło. A potem zapukał ktoś do drzwi, więc wzdrygnąłem się cały, bo pomyślałem, że już koniec...

Ale to tylko syn tapicera i jego mały, krzywonogi kolega w wyświechtanej wiatrówce. Przynieśli pieniądze i wyjęli z łóżka sprężyny, a Ulmana żaden z nich nie widział, gdyż go Kogut przykrył przedtem z głową.

Ten krzywonogi patrzył łakomie na wino, przełykał głośno ślinę i ociągał się z wyjściem, a Kogut wykorzystał ten moment i chciał im wtrynić swoją szafkę. Syn tapicera zupełnie zgłupiał, mówił, że nie jest mu potrzebna, więc Kogut zaczął go przekonywać, że mógłby nieźle zarobić, gdyby komuś tę szafę podstawił i napuścił na nią ojca. „Ode mnie — mówił — kupisz za setkę, a ojcu sprzedasz za dwie, i masz na tym czysty zysk". Syn tapicera bronił się, że nie ma pieniędzy, ani feniga, i nie wie komu szafkę podstawić, na to wtrącił się krzywonogi, że pieniądze zawsze można pożyczyć, a jeśli chodzi o podstawienie, to do niego można, już on uprzedzi matulę co ma gadać, jak tapicer przyjdzie. Ale, rzecz jasna, musi mieć z tego jakąś dolę, co najmniej pięć dych.

Syn tapicera powiedział, że się jeszcze zastanowi i wyszli dźwigając we dwóch wyjęte z łóżka sprężyny, a Kogut odkrył Ulmanowi twarz, żeby się nie udusił, i znowu napiliśmy się wina, które smakowało mi coraz bardziej, a Kogutowi coraz mniej powiedział, że teraz, jak ma pieniądze, to musi wypić coś mocniejszego, więc żebym został z Ulikiem, a on pójdzie do stróża spod dwudziestego ósmego i kupi jedną basetlę. Wyszedł, a ja odkorkowałem następną flaszkę, pociągnąłem sobie zdrowo i zupełnie przestałem się bać milicji, co mi tam milicja, nawet tego wrednego boksera przestałem się lękać, a jak spojrzałem na Ulika, to wydało mi się, że wszystko w porządku, że sobie śpi po prostu, blady trochę na twarzy...

I sam się zrobiłem senny, więc ułożyłem się przy nim, na skraju siennika, pokój zawirował, ściany pomieszały się z sufitem, myśli urwały się nagle...

Aż tu ktoś mnie zaczął poszturchiwać. Kogut. Stał nade mną z basetlą w ręce i ta basetla była już do połowy wypita, ale Boguś nie wydawał się pijany, tyle że odeło go trochę. Dał mi chleba ze smalcem i kiszonego ogórka, który ociekał lepkim sosem, kazał to wszystko zjeść, więc jadłem, kęsy rosły mi w ustach, bo nie było apetytu. On też jadł zagryzał, mówił, że jak pije, to obowiązkowo trzeba zagryzać, inaczej: murowana grużlica.

Potem zajął się Ulmanem. Odwróciłem się do nich plecami, aby nie patrzeć na Koguta, lecz i tak słyszałem, jak się wywnętrza, jak się skarży nieprzytomnemu Ulikowi, że tacy, jak oni zawsze mają pecha, wiatr w oczy, kij w dupsko, jak nie wojsko, to więzienie, albo dom wariatów.

— Ale to nic — mówił, zachłystując się łzami. — Jeszcze sobie pożyjemy. Dwa lata szybko przejdą i zaczniemy nowe życie. Może nawet do roboty pójdę, do spółdzielni mieszkaniowej się zapiszę...

A potem trzeba było przykryć Ulmana na głowę, bo ktoś zapukał w drzwi: to syn tapicera i jego krzywonogi kumpel; powiedzieli, że przyszli po szafę, ale że mają tylko osiemdziesiąt złotych, więc czy Kogut im sprzeda. Kogut powiedział, że sprzeda: wtedy zaczęli oglądać szafę i syn tapicera kręcił nosem, że to bardzo lichy pudło, a Kogut powiedział, że wcale nieliche, że jeszcze niejedno nowe

ROBERT GLUTH

Liryka?

Ona ma dwa skrzydełka
przezroczyste
swędzi —
odgonić trudno
w kuchennym swędzie
łazi po bufecie
rojna
obecna
wszędzie.

Po stolikach — tam i z powrotem
po butelkach z zastygłym sokiem
po twarzy
z ręki na ścianę
z żył do mózgu
muchy pijane
muszki rojne muchy się kręcą
po nerwach — tam i z powrotem
po myślach
TAM I Z POWROTEM
po sercu.

A gdyby tak wyjść, pojechać
daleko jeszcze dalej
cholernie, cholernie daleko —
to gdzie?

Jesień

Najgorzej
traktować poważnie
to, co zostaje:
poezję.
Drzewo przekwitło na kartce
— lecą słowa uschnięte — — —
Wiatr
biegnie.

zakosi, jak się nowy lakier da i wymieni zawiaski. Krzywonogi też tak myślał...

— Ryzyk-fizyk — mówił — bierymy Fajfus, matula czeka!

Odciągnęli szafę od ściany, czarny ślad po niej został, Kogut rozpoczął opróżnianie, znowu jakieś szmaty, skarpetki, cisnął o ziemię rozprutą poduszkę i wystrzeliły pod sufit resztki szczerniałego pierza, jeszcze się jakieś buty znalazły, brązowe, rozklapane na piętach, jakiś koc i sweter zżarty przez mole, które wyfrunęły z szafy, kołowały sobie po mieszkaniu, a Krzywonogi próbował je tępić zatrzaskując chude ręce.

Aż wreszcie szafa była pusta.

Syn tapicera wręczył Kogutowi gotówkę i zabierał się do wyjścia, ale jego kolega wyraźnie się ociągał, spoglądając tęsknie na wódkę; powiedział, że taki interes należy zapić....

— Daj pan, panie Kogut, kielicha — skamlał.

Kogut dał mu pociągnąć z półlitrówki, a wtedy syn tapicera też się zaczął przymawiać, i też pociągnął swoją dolę, aż mu łzy stanęły w oczach, a potem zapalili jeszcze Kogutowe sporty, i było widać, że Krzywonogi lepiej kurzy od swojego kumpla, zaciągał się z lubością, do samych trzewi, a dym puszczał jednocześnie ustami i nosem...

Było grubo po jedenastej, kiedy dźwignęli szafę z obu stron i, stękając z wysiłku, wytachali na korytarz. Zamknąłem za nimi drzwi, a Kogut odkrył Ulmana, bo jak kogo trzymać bez powietrza, to się może udusić.

W pokoju — puchy. Łóżko tylko bez sprężyn, materac pod ścianą, dwa krzesła trzeszczące i suche, no i te bety wyrzucone z szafy. Już nic nie było do sprzedania. Lecz były jeszcze pieniądze. Więc Kogut powiedział, żebym został z Ulmanem, a on skoczy do stróża spod dwudziestego ósmego i kupi gorzałę.

Wyszedł trzaskając głośno drzwiami; patrzyłem przez wilgotne, zakopcone okno, jak przechodzi na drugą stronę ulicy, zataczając się trochę, jak idzie pod murami smutnych, odrapanych domów ciągnąc za sobą chybotliwy cień, i serce skurczyło mi się z żalu, bo pomyślałem, że pewnie mu zimno w tej cieniuśkiej marynarce, rozpiętej na wiatr. A potem spojrzałem na Ulika, i żal mój jeszcze się zwiększył, pogłębił, już nie czułem do niego złości, żalu, wszystko mnie zaczęło cholernie wzruszać, może dlatego, że byłem pijany, a może dlatego, że Ulman leżał bezradny, jak dziecko, z rozrzuconymi rękami, z głową na własnej piersi, a spod spranej, wyblakłej flanelowej koszuli widać było niklowy łańcuszek, poprzerywany, powiązany w supełki. Sam nie wiem czemu mnie wzruszają takie głupstwa: jakiś łańcuch albo zeszmacona marynarka. Ale taki już jestem. Kiedyś byłem zły na jednego chłopaka z mojej klasy, bo mnie obrzucił pocynami błota; gdybym miał więcej siły, stłukłbym go chyba na śmierć, tak wielka była moja wściekłość. Ale zobaczyłem później, jak ten chłopak, Marańda się nazywał, je grubą kromę chleba z miodem, owiniętą w papier gazetowy, jak przełyka łapczywie patrząc nieruchomym wzrokiem w jakiś punkt na ścianie, i wściekłość moja roztopiła się od razu. Wyobraziłem sobie, jak mu to żarcie szykowała matka, pewnie biedne, spracowane kobiecisko, i gdyby tylko pozwolił mi honor, sam bym Marańdę przeprosił za to, że obrzucił mnie błotem.

JAN KOPROWSKI

„Słońce wschodzi koło Łodzi"

Zdarza mi się słyszeć i to dość często, wysuwane pod adresem pisarzy, takie uwagi: „Piszcie o Łodzi! Dlaczego nie piszecie o Łodzi? Za mało piszecie o Łodzi!" Ostatnio znowu na kilku spotkaniach autorskich w środowiskach młodzieżowych i wśród dorosłych zetknąłem się z podobnymi zarzutami.

Muszę wyznać, iż zarzuty te wprawiają mnie w stan zarówno irytacji, jak i wielkiego zdumienia. A to dlatego, iż autorzy owych postulatów nie orientują się po prostu, że o Łodzi pisze się dużo i że ilość książek, miastu naszemu poświęconych, zwiększa się z roku na rok. Wynika tedy z moich obserwacji następująca prawda: ludzie tak czuli na wszystko, co łódzkie, nie znają tego, co łódzkie. Albowiem, gdyby znali stan zainteresowania Łodzią wśród naszych pisarzy i ich książki o Łodzi, nigdy by z czymś podobnym nie występowali.

Dzisiejszy felieton chciałbym poświęcić na danie odpowiedzi tym wszystkim, którzy zapewne w nieświadomości ducha swego, zbyt łatwo czynią zarzuty, pisarzom i zbyt łatwo rozgrzeszają samych siebie z nieznajomości sprawy, do poznania której, jako łodzianie, są przecież i powołani i zobowiązani. Nie chodzi mi przy tym o powieści i opowiadania, napisane i wydane dawniej ze słynną „Ziemią obiecaną" Władysława Reymonta na czele. Nie chodzi również o utwory pisarzy cudzoziemskich, że wymienię, dla przykładu, znaną powieść Józefa Rotha o Łodzi pt. „Hotel Savoy". Chodzi mi o rzeczy z literatury pięknej powstałe w kilku ostatnich latach i ogłoszone drukiem przez pisarzy żyjących, bądź w Wydawnictwie Łódzkim, bądź w innych wydawnictwach polskich na terenie kraju.

Zacząłbym tę prezentację od książek Władysława Rymkiewicza, pisarza wyjątkowo dla tematyki łódzkiej zasłużonego. Tu uwaga nawiasowa: z faktu, że jakiś pisarz mieszka w Łodzi nie wynika bynajmniej, że musi on pisać o Łodzi. Może pisać książki o wyprawach na Biegun Północny, chodzi jedynie o to, by pisał dobrze, gdyż pisząc dobrze przysparza tym chwały nie tylko sobie, lecz także swojemu miastu. Cóż dopiero, gdy pisarz sięga po tematykę łódzką i daje nam dzieła artystycznie udane! Otóż takim właśnie pisarzem jest Władysław Rymkiewicz, który w ostatnich latach wydał „Ucieczkę z ziemi obiecanej", „Trzystu pod Dobrą", „Konferencję u mecenasa" i „Widok z Księżego Młyna". Wiadomo mi, że pisarz ten pracuje obecnie nad nową, piątą z kolei powieścią o Łodzi pt. „Godzina próby". Dwie z wymienionych wyżej książek Władysława Rymkiewicza („Ucieczka z ziemi obiecanej" i „Konferencja u mecenasa") dotycza Łodzi najnowszej, wojennej i powojennej, pozostałe podejmują problemy Łodzi historycznej w jej aspekcie walki o wyzwolenie społeczne i narodowe. Już te książki wystarczyłyby, aby nie narzekać na brak literatury pięknej o Łodzi. A przecież nie są to utwory jedyne, na które chciałbym zwrócić uwagę i polecić je czytającej publiczności.

Leon Gomolicki, pisarz płodny i wysoko oceniany przez krytykę literacką, również dwie ze swoich pozycji prozatorskich poświęcił naszemu miastu. Są to: „Wieczory nad Łódką", gawędy starego robotnika, i „Białe runo" — powieść, która w ciekawej i oryginalnej formie pokazuje problemy pracy fabrycznej. Czy mam wymieniać dalszych autorów i dalsze pozycje? Oczywiście. Jestem do tego zobowiązany przez ludzi, którzy nazbyt szybko i nazbyt, proszę mi darować to słowo, bez ceremonialnie stawiają zarzuty, lecz nie bardzo, niestety, orientują się w istocie zagadnienia. Helena Dunin ogłosiła w swoim czasie „Gawędy o dawnej Łodzi" — uroczą książkę o życiu obyczajowym i kulturalnym naszego miasta z przełomu wieków dziewiętnastego i dwudziestego. Bernard Sztajnert swoją powieść „Grupa pięciu" osadził w pejzażu łódzkim, który to pejzaż na dobrą sprawę jest tłem bodaj wszystkich książek prozatorskich tego autora. Również w Łodzi dzieje się najnowszy utwór Jana Czarnego „Albinos". Łodzi poświęcił swoje pióro Antoni Kasprowicz w dwu tomach opowiadań „Złodzieje owoców" i „Pod kwitnącym kasztanem". W Łodzi dzieje się akcja dwu powieści Zbigniewa Nienackiego „Z głębokości" oraz „Laseczka i tajemnica". Nie koniec na tym. Powieść Tadeusza Chróścielewskiego, notabene nagrodzona w konkursie literackim wysoką nagrodą, „Szkoła dwóch dziewcząt" pokazuje Łódź w pierwszych latach po wojnie, głównie jej środowisko nauczycielskie i uniwersyteckie. Na tym samym konkursie, rozpisanym przez Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej i Związek Literatów Polskich, otrzymał nagrodę Roman Łoboda za powieść „Podwójny rozdział", której znaczne partie zlokalizował autor w naszym mieście. O Łodzi okresu międzywojennego napisała swoją pierwszą powieść o wątkach autobiograficznych „Córka tego co tramwaje jego" — Honorata Chróścielewska, a Edward Kopczyński — „Trudne edukacje". Pejzaż łódzki odnajdziemy bez trudu w dwu kolejnych powieściach Wiesława Jażdżyńskiego: „Świętokrzyski polonez" i „Między prawdą a chlebem". Dodam, dla ścisłości, że „Świętokrzyski polonez" został odznaczony pierwszą nagrodą na konkursie Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik".

Jak czytelnicy z pewnością zauważyli, mówiłem tylko o powieściach i książkach prozą. Zresztą i z tej dziedziny nie wymieniłem wszystkiego. Natomiast poza obrębem moich rozważań pozostały wiersze, których o Łodzi napisano tak wiele, że ułożyłyby się z nich dwie pękate antologie. Nie ma mieszkającego w Łodzi poety, który by nie poświęcił chociażby kilku wierszy swojemu miastu, a są tacy, jak na przykład Marian Piechal, który wydał cały tom wierszy o Łodzi pt. „Miasto nadziei". Wiersze o Łodzi pisali: Tadeusz Chróścielewski i Jan Huszcza, Antoni Kasprowicz i Grzegorz Timofiejew, Maciej Kononowicz i Igor Sikirycki, Tadeusz Głegier i Mieczysław M. Szargan, Jerzy Waleńczyk i Roman Gorzelski, i wielu, wielu innych. Powie kto: no dobrze, jest tego sporo, ale ilość nie świadczy jeszcze o jakości. I pod tym względem miałbym wiele dobrego do odnotowania, jako że o wymienionych przeze mnie książkach ukazało się bardzo wiele recenzji w prasie ogólnopolskiej, dodajmy: recenzji pozytywnych, a często wręcz pochlebnych, których autorami są znani i cenieni krytycy, zasługujący na pełne zaufanie. A i fakt, że kilka z wymienionych książek otrzymało wysokie nagrody na konkursach literackich też przecie posiada nie byle jakie znaczenie.

Toteż sądzę, iż mówienie o tym, że pisarze nasi nie piszą o Łodzi, jest mówieniem bez pokrycia. Z pewnością nie popełnię przesady, jeżeli stwierdzę, że o Łodzi pisze się równie dużo co o Warszawie i Krakowie, a może nawet więcej, tylko my za mało się tymi sprawami interesujemy, za mało o nich mówimy i za mało je propagujemy. Chciałbym więc wrzucić mały kamyczek do ogródka patriotów Łodzi i tych, którzy się za patriotów tego miasta uważają. Kochani, czytajcie nasze książki, interesujcie się nimi, oceniajcie je tak jak na to zasługują, ale nie wołajcie, że książek o Łodzi nie ma, bo to nieprawda. Z książek o Łodzi, napisanych i wydanych po ostatniej wojnie, dałoby się zgromadzić wcale pokaźną bibliotekę.

Jeżeli ma sens mówienie o długu, który pisarze winni są swojemu miastu, to wedle mego głębokiego przekonania, pisarze Łodzi z długu tego wypłacili i wypłacają się w sposób piękny i godny uwagi. Myślę natomiast, że długi takie istnieją po stronie czytelnika, który zdaje się nie pamiętać, że „słońce wschodzi koło Łodzi".

Fot. J. Placek (CSR)

EWA NURCZYŃSKA

Mały festiwal filmów potrzebnych

Różne są rangi festiwali filmowych, różny ich zakres i ważkość. Niektóre nie pretendując nawet do oficjalnej nazwy, poprzestają na określeniu „przegląd", który natychmiast rzutuje na ich charakter, bardziej specjalistyczny, powiedziałabym nawet, roboczy.

Przykładem tego typu festiwalu-przeglądu może być II Ogólnopolski Przegląd Filmów Naukowo-Technicznych i Dydaktycznych, który odbył się w dniach 10—13 października w Katowicach. Trudno sobie wyobrazić lepsze tło dla imprezy tego rodzaju, jak właśnie to miasto — symbol wielkiego przemysłu i wielkiej techniki. Dla kogoś kto w Katowicach bywa bardzo rzadko, pobyt w tym mieście staje się okazją do licznych zupełnie nieoczekiwanych wrażeń. Zaopatrzeni w bagaż pewnych ustalonych wyobrażeń o Zagłębiu i Śląsku ze zdumieniem musimy wnieść do nich poprawki. Na makietę krajobrazu tych ziem obok kopalń i monumentalnych hut nanieść musimy pasaże zieleni, z ogromnym rozmachem rozbudowywane osiedla mieszkaniowe i centralne punkty miast oświetlone wieczorami powodzią neonów. Znaleźć musimy także miejsce dla pięknego funkcjonalnego Parku Kultury i Wypoczynku, w którym zieleń sąsiaduje z Wesołym Miasteczkiem, kąpieliskami, różnego typu lokalami, park nad którym króluje kopuła Planetarium i pawilony Ośrodka Postępu Technicznego. Przestrzeń, zieleń i światło zmieniają znany nam krajobraz. W czasie wędrówek po śląskich miastach znajdujemy dowody realizacji wielkiej idei humanizmu czasów technicyzacji. Tych kilka na pozór oderwanych od tematu uwag koresponduje jednak ze spostrzeżeniami, z którymi jako uczestnik przeglądu filmów naukowo-technicznych pragnę podzielić się z Czytelnikami.

Patronat organizacyjny nad tą imprezą objął katowicki Ośrodek Postępu Technicznego, poparcie finansowe znaleziono w dwudziestu kilku kopalniach, hutach i ośrodkach przemysłowych Śląska. Że miasto uznało i zaaprobowało imprezę świadczyć może fakt dużego zainteresowania jej przebiegiem w środowiskach naukowych, technicznych i szkolnych.

Na katowickim Przeglądzie zaprezentowano 53 filmy rozpatrywane w dwóch kategoriach — określmy je jako filmy zawodowe i niezawodowe. Ten formalny podział mówi już wiele o specyfice Przeglądu, na którym przedstawiono zarówno filmy produkowane w wytwórniach typu WFO z Łodzi, „Czołówka" czy Spółdzielcza Wytwórnia Filmowa z Warszawy, jak i w różnego rodzaju placówkach naukowo-badawczych i uczelniach wyższych. Merytoryczna ocena filmów tego Przeglądu z powodów zupełnie oczywistych nie może należeć do mnie. Werdykt jury, w którego składzie uderzała przewaga ludzi nauki i techniki, a nie filmu, pozostaje dla nas oceną autorytatywną, tym bardziej że w zasadzie spotkał się z ogólną aprobatą. **Z osobistą satysfakcją odnotować tu należy duży sukces łódzkiej WFO, której twórcy zdobyli większość nagród. Nagrodę I uzyskał film M. Matraszka pt. „Zastosowanie optycznych przyrządów pomiarowych w przemyśle metalowym", dwie drugie nagrody zdobył J. Popiel — Popiołek za filmy „Rubiny, szafiry, topazy" i „Magia zimna". Filmom WFO przyznano również nagrodę III i trzy wyróżnienia.** W werdyktach jury Przeglądu niewątpliwie zawarty jest ogólny sens omawianego festiwalu. Wyróżniono filmy zwracając uwagę na ich walory dydaktyczne w pierwszym rzędzie, podkreślano ich przydatność w procesie dydaktycznym w pracach na uczelniach wyższych i w szkołach średnich oraz możliwość popularyzacji często bardzo trudnych problemów technicznych i naukowych wśród szerokich kręgów odbiorców. Przykładem tu mogą być filmy dwóch głównych laureatów. Film M. Matraszka jasny i sugestywny w formie może być przykładem niezbędnej jakości filmów dydaktycznych, na jakie składają zapotrzebowanie szkoły techniczne. Filmy J. Popiel — Popiołka legitymują się nie tylko swymi walorami poznawczymi i konsekwentnym tokiem wywodu lecz niesłychanie atrakcyjnym, również dla szerokiej widowni, sposobem ujęcia tematu. „Magia zimna" podejmując aktualny nierozszyfrowany do końca problem naukowy, wprowadzając nas w pełen wielkich tajemnic świat biologii, dostarcza dzięki pięknu barwnych obrazów wielu wrażeń natury estetycznej.

Wspomnianym tu filmom nie dorównują jakością wykonania te filmy, które firmowane są przez uczelnie wyższe i instytuty naukowe. Oceniono je też osobno, a nagrody zdobyte przez takie filmy jak np. „Budowa tunelu energetycznego w Tresnej" czy „Badanie przepływu wieńcowego na sercu szczura", pozostając wyróżnieniami, prowokują do pewnych wniosków i postulatów. Sprawa wykorzystania wszelkich środków audio-wizualnych, a zwłaszcza filmu w procesach badawczych i dydaktycznych jest zdawałoby się, w czasach dzisiejszej cywilizacji oczywistością. Przegląd katowicki i wszystkie towarzyszące mu imprezy takie jak: spotkania z twórcami filmów i pracownikami wyższych uczelni (np. doc. dr W. Zinnem), wystawa pomocy audio-wizualnych i prezentacja możliwości ich wykorzystania, seminarium dla nauczycieli i wszelkie kuluarowe rozmowy potwierdzały jednak, że z tą oczywistością, o której mowa była wyżej nie jest jeszcze w Polsce tak dobrze.

Dydaktycy nie negując metody, wręcz przeciwnie swym często osobistym przykładem popularyzując jej stosowanie, podkreślają ogrom przeróżnych, niesłychanie istotnych przeszkód paraliżujących efektywność pracy. Sam przegląd aktualnie wykonanych filmów naukowych i dydaktycznych sygnalizuje już szereg zagadnień, które należą do rzędu podstawowych. Filmy „niezawodowe" niewątpliwie gorsze w jakości i sposobie wykonania trudno wprowadzić do szerszego rozpowszechniania wśród adresatów, tu filmy „zawodowe" mają ogromną przewagę. Konfrontacja na tym przeglądzie filmów typu zawodowego i amatorskiego szczególnie mocno uzmysłowiła istnienie specyfiki gatunkowej filmu oświatowego i obowiązującej w nim dyscypliny toku wywodu i środków kompozycji. Z drugiej strony filmy uczelni i instytutów są wyrazem zapotrzebowań tych placówek na określone tematy naukowe. Brak pełnego porozumienia między wytwórniami a uczelniami wyższymi hamuje produkcję zawodową filmów najpotrzebniejszych. Długi tok produkcyjny filmów w naszym kraju w wielu wypadkach nie pozwala najnowszych sensacji naukowych (vide lasser) uczynić tematem dnia wykładu uczelnianego czy szkolnego. Spotkania i wypowiedzi tych, dla których filmy oświatowe mają być niezbędnym narzędziem w pracy dydaktycznej ujawniły, że szkoły średnie i wyższe mają przed sobą te same trudności i problemy do rozwiązania. Należą one do typu trudności organizacyjnych, które w tym wypadku stają się podstawowymi. Sprawy niedomogów rozpowszechniania tych filmów przez Filmos, zła jakość kopii, brak odpowiednich sal wykładowych i lekcyjnych dostosowanych do projekcji filmowych, brak na rynku odpowiednich przyrządów audio-wizualnych — to tylko część tych kłopotów. Zorganizowana w czasie przeglądu wystawa środków audio-wizualnych i ciekawy seans prezentujący możliwości ich wykorzystania w gruncie rzeczy wywołał więcej żalu i goryczy niż uczuć satysfakcji, uzmysłowił odległość między marzeniem o nowoczesności nauczania, a możliwościami tych, którzy mają ją realizować. Wystarczy powiedzieć, że większość eksponatów na wystawie pozostaje tylko e k s p o n a t a m i, dostać ich nie sposób. Ponieważ jednak droga do celu bywa zawsze długa i trudna trzeba odnotowywać to co się na niej dzieje i brnąć dalej, tak podobno coś się osiąga. I po to chyba zaproszono na ten Przegląd ludzi, którzy prezentowali swe prace lub mówili o nich, którzy mocno podkreślali fakt, iż wzrost użycia środków technicznych w nauczaniu stwarza nową strukturę procesu dydaktycznego, zmniejsza wkład uczącego w sam proces przekazywania informacji, lecz wymaga od niego większego jeszcze wysiłku intelektualnego i organizacyjnego. On sam ma zatem prawo żądać, by filmy i inne pomoce audio-wizualne prezentowały wartość najwyższą. Na jednym z etapów drogi, o której była mowa znajduje się również katowicki Przegląd. Potrzeba prezentacji tego, co w dziedzinie filmu dydaktycznego i naukowego aktualnie się dzieje jest warunkiem sine qua non dla dalszego rozwoju tej specyficznej gałęzi sztuki filmowej, która nazywa się „filmem pożytecznym" filmem użytkowym. Ze wszech miar przyklasnąć tu trzeba pasji organizatorów „Przeglądu", dla których impreza ta jest nie tylko sprawą prestiżu miejscowych władz oraz środowiska naukowego i technicznego, ale również konkretnym przykładem „dobrej roboty".

Mimo wszystkie przyjemności towarzyszące dziennikarzowi w tej katowickiej wyprawie, smutno mu na sercu, że nie może uczestniczyć w podobnych imprezach w rodzinnym mieście, do którego przecież wróciły laury zdobyte tam w Katowicach przez ludzi tu w Łodzi pracujących.

Spektakle tygodnia

TEATR WIELKI	„Dama Pikowa", 1 spektakl	2762 — 100%
NOWY	„Damy i huzary", 5 spektakli	3500 — 100%
	„Blacharz burmistrzem", 2 spektakle	1400 — 100%
MAŁA SALA	„Skiz", 6 spektakli	1200 — 100%
POWSZECHNY	„Noc spowiedzi", 4 spektakle	2640 — 100%
	„Klub kawalerów", 1 spektakl	660 — 100%
ROZMAITOŚCI	„Przełom", 1 spektakl	633 — 100%
7.15	„Paryżanin", 5 spektakli	2105 — 100%
OPERETKA	„Domek trzech dziewcząt", 6 spektakli	5435 — 84%
TEATR ZIEMI ŁÓDZKIEJ	„Los człowieka", 4 spektakle	2025 — 100%
FILHARMONIA	Koncerty symfoniczne, 2	1300 — 90%

MARIA KORNATOWSKA

Co nowego w WFO?

Od dłuższego już czasu obserwujemy kryzys tradycyjnych form filmu oświatowego. Publiczność domaga się nowego, bardziej atrakcyjnego kształtu dla tego rodzaju twórczości filmowej. Poszukiwania w tej dziedzinie zmierzają do znalezienia właściwej formuły pozwalającej uczyć — bawiąc. Nudne, szkolarskie wywody nie mogą z pewnością wzbudzić zainteresowania widza, który bardzo często traktuje dodatek do filmu fabularnego jako zło konieczne, jako tzw. dopust boży. I biorąc pod uwagę poziom niektórych filmów krótkometrażowych, trudno mu się nawet dziwić. Konieczne są zatem radykalne zmiany w dominującym dotychczas modelu filmu oświatowego. Konieczne jest urożnorodnienie i wzbogacenie jego poetyki i sposobów oddziaływania.

Dlatego też notujemy z dużym uznaniem, iż łódzka Wytwórnia Filmów Oświatowych znacznie rozszerzyła ostatnimi czasy, zakres swojej działalności twórczej. Uważam za bardzo istotny fakt, iż nie poprzestaje ona na produkowaniu filmów oświatowych, popularno-oświatowych i naukowych, ale także interesuje się żywo filmem dokumentalnym, a nawet poetyckim. Z jednej strony czyni się w ten sposób zadość panującym obecnie w filmie krótkometrażowym, tendencjom do zacierania się granic między różnymi rodzajami i gatunkami; z drugiej zaś wzbogaca poważnie zasób środków ekspresywnych i stylistycznych poszczególnych filmów. Rezultaty są już widoczne.

Na przeglądzie najnowszej produkcji WFO najbardziej interesujące pod tym względem pozycje stanowiły dwa filmy, a mianowicie „Mazur kajdaniarski" reż. Andrzeja Szczygła i „Maria Skłodowska-Curie" reż. Stanisława Grabowskiego. Obydwa odbiegały daleko od obowiązującego w podobnych utworach schematu myślowego i konstrukcyjnego. „Mazur kajdaniarski" — to w dosyć poetycki sposób potraktowane dzieje słynnego X-ego Pawilonu warszawskiej Cytadeli, a tym samym kawał historii polskiego (i nie tylko polskiego) ruchu rewolucyjnego i niepodległościowego. Autorzy „Mazura kajdaniarskiego" dysponowali jak nietrudno się zorientować, dość ubogim materiałem dokumentacyjnym, ale balladowy niemal charakter filmu, pozwolił wydobyć z owego materiału maksimum ekspresji. Film robi duże wrażenie i nade wszystko oddziałuje emocjonalnie na widza. Budzi wzruszenie. Sądzę, że właśnie w tego rodzaju filmie — to bardzo ważne.

Duże trudności materiałowe mieli zapewne i autorzy filmu poświęconego Marii Skłodowskiej-Curie. Ale i w tym przypadku, trafnie dobrana i pomyślana forma pozwoliła zwycięsko owe trudności rozwiązać. Ze strzępów wypowiedzi jej współpracowników, uczniów i następców, ze starych, pożółkłych fotografii i wyblakłych kronik filmowych, z obrazu miejsc w których przebywała i pracowała, wreszcie z jej własnych pełnych prostoty słów — wyłania się jakiś niebanalny przecież portret wielkiej uczonej. Autorzy szczęśliwie uniknęli niebezpieczeństwa ubrązowienia i uśpiżowienia Marii Skłodowskiej-Curie. Film znów budzi wzruszenie. Z portretu uczonej, zbyt często przedstawianej jako idealny zbiór wszelkich możliwych cnót i zalet, emanuje zwykły, kobiecy, ludzki wdzięk. Uważam, że obydwu filmom bardzo wyszło na korzyść zastosowanie pewnych chwytów stylistycznych filmu poetyckiego, pewnej impresyjności formy. Ich liryczny — chciałoby się rzec — charakter nie kłóci się wcale z funkcjami dydaktycznymi. Wprost przeciwnie. Znacznie je potęguje.

Interesujące propozycje przynosi także film reż. Konrada Nałęckiego „Artysta". Wytwórnia Filmów Oświatowych ma już na swoim koncie parę ciekawszych filmów o sztuce — pomyślanych w sposób niebanalny. „Artysta" kontynuuje ten nurt, kontynuuje dyskusję na temat źródeł, funkcji i sensu współczesnej sztuki. Ta dyskusja toczy się na ekranie. Biorą w niej udział malarze, tancerz, kompozytor i poeta — wybitni przedstawiciele polskiej sztuki współczesnej. Artyści na ekranie próbują wyjaśnić sobie i widzom dla czego właściwie są artystami, co zadecydowało o ich wyborze, co sprawia iż muszą tworzyć. Film Nałęckiego stanowi niewątpliwie godną uwagi próbę nawiązania dialogu między twórcami współczesnej sztuki, a jej odbiorcami. Nadto film zawiera kilka interesujących rozwiązań formalnych. Osobiście nie podobała mi się tylko wizualizacja wiersza Przybosia.

Zdecydowanie dokumentalny charakter posiada film reż. Antoniego Krauze „Konflikty" — dowcipnie a pouczająco ukazujący konflikty zrodzone na tle domowej koegzystencji lokatorów o różnych temperamentach i zamiłowaniach. Oglądamy także działalność społecznych komisji rozjemczych zajmujących się rozwiązywaniem podobnych konfliktów. Film zręcznie, kulturalnie zrealizowany. Reżyser zdradza duży talent obserwacyjny. Każdy może siebie samego w krzywym obejrzeć zwierciadle.

„Zazdrość" reż. Jadwigi Żukowskiej, kontynuuje dziecięcy cykl tej autorki. Tym razem rzecz o zazdrości starszych dzieci spowodowanej względami, jakimi rodzice darzą młodsze rodzeństwo. Wydaje się jednak, że Żukowska wybrała przypadek zbyt skrajny, i stąd wymowa filmu, wydaje się zbyt natrętna. Poprzednie filmy tej realizatorki były bardziej subtelne w przeprowadzaniu swych tez. Zdolność obserwowania reakcji dziecięcych, jest jednak jak zwykle u Żukowskiej, zdumiewająca.

W sumie ostatni przegląd filmów WFO napawa optymizmem. A optymizm ten jest nam bardzo potrzebny, zwłaszcza po ostatnim krakowskim Festiwalu Filmów Krótkometrażowych.

Fot. Romuald Kropat

Tele-obiektyw

Do TV — selekcjonerów

W ubiegłym tygodniu przeczytałem w „Odgłosach" interesujący wywiad Stanisława Kaszyńskiego z Kazimierzem Dejmkiem. Jaki związek ma osoba Dejmka z telewizją, z kapryśną Muzą, której sprawom służyć ma nasza rubryka? Żaden. O to chodzi, że żaden.

Dla Telewizji (tym razem przez duże „T", gdyż mam na myśli instytucję i jej szacowne kierownictwo) Dejmek jako reżyser nie istnieje. Przed laty, jeszcze za łódzkich czasów, reżyserował dwukrotnie w ŁOT przy ulicy Narutowicza. Przeniósł wtedy z teatru do studia „Żywot Józefa" i przygotował, tym razem już specjalnie dla telewizji, „Warszawiankę" Wyspiańskiego.

Na tym zakończył się Dejmka flirt z telewizją. W ciągu siedmiu lat dyrektorowania w Teatrze Narodowym w stolicy reżyser Dejmek ani razu nie przekroczył zaklętego progu warszawskiego studia. Nie jestem na tyle wtajemniczony, by wiedzieć, czy Telewizja Warszawska zwracała się do niego z jakimiś propozycjami. Jedno jest dla mnie pewne, że gdyby szczerze o to zabiegano, oglądalibyśmy spektakle Dejmka na małym ekranie.

Na małym ekranie! Istotnie, ekran jest mały. Program jak dotąd jeden, a więc też stosunkowo niewielki. Wielka natomiast jest ilość tych, którzy na tym szklanym prostokącie chcieliby zaprezentować się szerokiej publiczności.

Nie wszyscy artyści, publicyści, działacze mogą tego wyróżnienia dostąpić. Czynniki decydujące o programie TV muszą sublimować, selekcjonować, wybierać na ogólnopolską antenę najlepsze siły. Chciałoby się przecież, by w maleńkim obrysie telewizora można było na zasadzie pars pro toto zobaczyć, na co stać nasz kraj w różnych dziedzinach telewizyjnej twórczości.

Czy tak się dzieje? Przykład z Dejmkiem może podważyć zaufanie do TV — selekcjonerów. Logika wskazywałaby, że po sukcesach krajowych i zagranicznych tego (że użyję jego własnego określenia) poety teatru, chciałoby się stwierdzić, jak sprawdza się jego warsztat w telewizji. Artysta tak konsekwentny, odkrywczy w poszukiwaniu słowa dramatycznego, uparty w zmaganiu się z fakturą sztuki, wrażliwy na kształt, światło, rytm, dźwięk, z pewnością nie chciałby korzystać z telewizyjnego aparatu w sposób banalny.

Więc? Widocznie w tym konkretnym przypadku ma miejsce jakieś inne wartościowanie. Dla poznania jego czysta logika wydaje się mało przydatna. Trzeba by chyba spenetrować kulisy, rozszyfrować skomplikowane układy personalne i kuluarowe koterie... Na myśl o takim zadaniu włos się jeży ze strachu.

A teraz o ton poważniej. Selekcjonerzy telewizyjni to tylko ludzie. Kierują się własnym smakiem, myla się błędzą, czasem pewnie nie są wolni i od prywaty. Omyłki są wszędzie dopuszczalne. Ale te, które dotyczą programu TV, są szczególnie dotkliwe, bo multiplikują się, powielają na ekranach wszystkich teleodbiorników w kraju.

Pisałem wyżej, że chciałoby się oglądać w telewizorze krajowa reprezentację najlepszych sił. Często jednak niewłaściwie przeprowadzona selekcja deformuje obraz tego, na co nas stać. Zdarzają się wypadki prezentowania przez telewizję aktorów, piosenkarzy, reżyserów, którzy nie dorastają do poziomu owej umownej reprezentacji krajowej.

W ten sposób uparcie lansując pewne nazwiska, telewizja w pewnym sensie dezinformuje opinię publiczną. Wmawia jej niejako, narzuca pewnych ludzi. Każe wierzyć w ich nierzadko efemeryczne walory.

Jakże ważna rzeczą w telewizji jest dawkowanie! Na przykładzie obsad aktorskich łatwo przyjdzie udowodnić, że istnieją wykonawcy szczególnie lubieni, ukazujący się w paru programach podczas jednego tygodnia. Swoiści tele-monopoliści. Nazwisko pewnego reżysera, doświadczonego, ale nie najwyższego lotu, wyczytałem na planszy trzykrotnie w ciągu miesiąca.

Jednocześnie w stosunku do innych aktorów, do innych reżyserów nieraz wybitnych, panuje zadziwiająca wstrzemięźliwość. Czym wytłumaczyć tak nie precyzyjne działanie mechanizmu selekcyjnego?

Wiem, że to niełatwa sprawa. Nie zawsze można dostać tego wykonawcę, który w danej roli byłby najlepszy. Są choroby, wyjazdy, nieoczekiwane przeszkody, konieczność nagłych zastępstw. Wtedy obsada staje się dziełem przypadku, bierze się tego kto najbliżej, kogo najłatwiej ściągnąć. Podobno wytworzył się nawet typ aktora — dziewczynki do wszystkiego, specjalisty od zastępstw, wysiadującego w kuluarach studia i wyczekującego na role.

Ale to wszystko nie zmienia faktu, że mamy prawo być w stosunku do telewizji wymagający. Chcemy oglądać jak najwięcej dobrych wykonawców. Domagamy się ograniczenia błędów obsadowych.

No i prosimy (wyrażę tu chyba opinię licznej rzeszy miłośników) o Dejmka na małym ekranie!

Władysław Orowski

O FILMACH DOBRZE i ŹLE

O FILMACH DOBRZE i ŹLE

Film „DWOJE" laureat Festiwalu w Moskwie w roku 1965 i z Oberhausen w 1966 r. oraz film „ZOSIA" w reżyserii tego samego twórcy Michała Bogina pokazano nam razem. Pomysł to znakomity, poznajemy młodego reżysera, którego dwa pierwsze filmy budzą nadzieję przyszłych spotkań.

„Dwoje" i „Zosia" to filmy smutnej liryki, głębokiego ciepła, wiary w ludzkie uczucia. Takiej dawki liryki naraz dawno nie było na naszym ekranie. Gdyby ktoś starał się mnie przekonać, że tracą one sentymentalizmem, bardzo bym się zdenerwowała. Zawarte w obu filmach wzruszenia pierwszych uczuć miłosnych w kontekście obu opowieści nabierają znaczeń wiele głębszych. Bogin wybiera sytuacje niesłychanie dramatyczne, choć diametralnie różne, sytuacje, które dowieść mają najistotniejszego ludzkiego pragnienia znalezienia drugiego człowieka, któremu się jest potrzebnym i który nam jest niezbędny. Ludzie wychodzą sobie naprzeciw i to jest w życiu najważniejsze — zdają się mówić filmy Bogina, filmy, które są swego rodzaju antidotum na wszelkie frustracje i alienacje. Sugestii filmów Bogina nie sposób się nie poddać przy całej świadomości tego, iż wybór młodych, pełnych wiary w piękno świata i uczuć bohaterów ma swój drugi sens, uchwytny dla ludzi dorosłych.

Ten sam temat obu filmów Bogina znajduje różne tła przedstawień: kameralny spokój filmu „Dwoje" kontrastuje z pełnym wojennego niepokoju filmem „Zosia". Spokój filmu „Dwoje" jest jednak pozorem, kryje się w nim tragedia jednostkowego ludzkiego losu, znoszonego z pełną godności rezygnacją. Postawa Nataszy — głuchoniemej bohaterki filmu odnosi się wyłącznie do faktu niemożności fizycznego przeciwstawienia się swemu kalectwu. Natasza walczy o swe prawo do normalnego życia — pracuje, ćwiczy akrobatykę, a nawet tańcz. Jej samotność dotyczy samotności uczuć najintymniejszych, jej kontakt ze światem otaczającym jest tylko stosunkiem codziennych czynności i gestów. Dopiero spotkanie z miłością i uczuciem ułatwi jej moralne zwycięstwo nad własnym kalectwem izolującym ją dotąd od pełnego świata ludzkich odczuć. Ale właśnie Nataszy wyszedł ktoś naprzeciw, bez Sergieja jej zwycięstwo byłoby niemożliwe. Opowieść o tych dwojgu, o rodzeniu się miłości i wielkim wspólnym zwycięstwie jest opowieścią prawdziwą, niebanalną. Można uwierzyć i pokochać ludzi, gdy patrzy się na tych dwoje bohaterów, których nie rozdzieliła straszliwa bariera między światem ciszy i głosów nawet w przypadku, gdy świat dźwięków wypełnia życie jednego z nich, muzyka Sergieja. Wydaje mi się, że wybór tak skrajnego przypadku dyktowała Boginowi właśnie owa nieprzeparta wiara w człowieka, a to, że zdołał nas swą opowieścią przekonać, jest miarą jego talentu. Film następny — „Zosia" jest zresztą tego potwierdzeniem. Tu również miłość staje się wartością najwyższą niezbędną. Dla Michała miłość zrodzona w ciągu kilku dni przerwy w wojnie, miłość pierwsza i niespełniona, będzie powrotem do normalnego życia, będzie chwilą zrzucenia z siebie koszmaru wojny. Wspomnienie tej miłości, jednego pocałunku i jednego listu pomoże mu w drodze, którą jeszcze będzie musiał przebyć, gdyż ta miłość miała miejsce latem 1944 roku w maleńkiej polskiej wiosce, od której daleko jeszcze do końca wojny.

„Zosia" to opowieść o miłości nieśmiałej i młodzieńczej i opowieść o przyjaźni i męstwie dorosłych i dojrzałych. Ta historia dwóch przyjaciół — żołnierzy i dziewczyny jest historią pokolenia. Dwaj bohaterowie filmu rozpoczęli walkę mając lat siedemnaście. Gdy skończyli dziewiętnaście byli dowódcami batalionu, byli żołnierzami, którzy umieli walczyć i dowodzić. Świat wojennych doświadczeń uczynił ich nad wiek dorosłymi. Chwila powrotu do normalnego życia czyni ich znów takimi, jakimi mają prawo być w swym wieku. Największą wartością tego filmu jest dla mnie umiejętność rysunku postaci, w których współżyje dorosłość i dziecinność, odwaga i okrucieństwo obok nieśmiałości i wrażliwości. Dramatyczna to opowieść o pokoleniu Kolumbów bratniego narodu inna w tonacji aniżeli opowieści nasze, nie tak poplątana, ale tak samo tragiczna.

Gdybyśmy mieli porównywać oba filmy Bogina, film pierwszy okazałby się może bardziej jednolitą dramaturgicznie konstrukcją. „Zosia" nie legitymuje się w pełni taką klarownością stylu i dramaturgii. Pewne niedoskonałości tego filmu stają się w ostatecznym rachunku nieistotne. Jego tonacja pełna ciepła i liryzmu, pełna smutku i ułamkowych radości, jest w nim najważniejsza i decyduje o ogólnym wrażeniu.

Oba filmy wskazują na podstawowe cechy talentu Bogina, który okazuje się mistrzem rysunku psychologicznego swych młodych bohaterów, artystą niesłychanie wrażliwym na piękno rzeczy najzwyklejszych: najprostszych, a podstawowych ludzkich uczuć, które potrafią odnosić zwycięstwa w sytuacjach najdramatyczniejszych. Bogin wydobywa przy tym piękno świata zewnętrznego: czy to ulic, kamienic i parków miejskich jak w filmie „Dwoje", czy to wiejskiej przyrody w filmie „Zosia". Potrafi przekonywać widza o sensie każdego ludzkiego gestu czy spojrzenia, potrafi wydobyć ze swych bohaterów podstawowe cechy ich indywidualności. Muszę przy tym przyznać, iż urok osobisty i talent młodych radzieckich aktorów, odgrywa tu rolę niemałą. Obecność w tym gronie naszej Poli Raksy, sprawia nam osobistą satysfakcję.

„Zosia" Bogina stanowi jakiś naturalny dalszy ciąg serii tych filmów, które reklamują się takimi tytułami jak „Ballada o żołnierzu" Czuchraja, czy „Wierność" Okudżawy i Todorowskiego. Seria to znakomita.

E. N.

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

150 ROCZNICA URODZIN LAROUSSE'A

■ „Pracując 15 lub 16 godzin dziennie za trzy lub cztery lata będę mógł ukończyć moje dzieło i wtedy odpocznę lub jeśli będą musiał umrzeć to umrę, ale słownik będzie skończony" — tak mówił sto lat temu, pięćdziesięcioletni wówczas

Pierre-Athanase Larousse. Dokonał swego dzieła, choć nie zobaczył go już w druku. „Grand Dictionaire Universal du XIXe Siècle" (Wielki Słownik Powszechny XIX wieku) ukazał się w rok po śmierci jego autora.

Dziś wydawnictwo, które założył Larousse, „Librairie Larousse" uroczyście obchodzi 150-lecie urodzin swego fundatora.

Pierre Larousse był synem kowala. Urodził się w Toucy w roku 1817. Zostaje pedagogiem, dyrektorem szkoły i znakomitym gramatykiem. Zanim przystąpił do zorganizowania wydawnictwa, opublikował dwie prace naukowe na temat gramatyki.

Dziś po ponad stuletniej działalności, „Librairie Larousse" poszczycić się może wspaniałym dorobkiem. Nad nowymi słownikami pracują krewni, spadkobiercy wielkiego Larousse'a i następcy jego wspólnika Augustina Boyer. Współpracownicy wydawnictwa wertują prasę i książki, słuchają radia i oglądają telewizję — notują nowe pojawiające się i wchodzące do języka słowa, śledzą zanikanie innych, zaznaczają przesunięcia się znaczeń niektórych słów i wyrażeń. Materiał ten służy następnie przy opracowywaniu wciąż na nowo wydawanych Larousse'ów. Jednym z ostatnich jest np. tzw. „L 3", trzytomowy ilustrowany Larousse, ukazujący się w druku w latach 1965—1967.

W redakcji wydawnictwa pracuje szereg znawców sztuki, literatury, nauk ścisłych, przyrodniczych itd. Materiał leksykograficzny segregowany jest przy pomocy specjalnych maszyn.

Swego rodzaju arcydziełem jest wydany niedawno „Słownik krzyżówek" zestawiony przy pomocy mózgów elektronowych. W słowniku tym m. in. wyrazy zestawione są według ilości liter jakie zawierają. Słownik jest wielką pomocą dla miłośników rozwiązywania krzyżówek.

OSTATNI Z FOWISTÓW

■ W paryskim Muzeum Sztuki Nowoczesnej otwarta została wielka, retrospektywna wystawa dzieł holenderskiego malarza Van Dongena, ostatniego żyjącego fowisty. Jak wiadomo krytyk sztuki Louis Vauxcelles, oglądając obrazy wystawione w Salonie Jesiennym w roku 1905, nazwał ich

Van Dongen: „Cyganka"

autorów fowistami (dokładniej pisaliśmy już o tym).

Van Dongen urodził się w roku 1877 w Delfshaven koło Rotterdamu. Do Paryża przybywa w roku 1897. Aby móc się utrzymać, współpracował z pismami satyrycznymi. Z początku w malarstwie swym naśladuje Van Gogha, a następnie wypracowuje swój własny styl twórczy. Stawszy się jednym z wybitniejszych fowistów, pozostanie wierny temu kierunkowi aż do 1912 roku, a nawet jeszcze później już po pierwszej wojnie światowej, gdy zdobywa sławę światową głównie jako portrecista. Nigdy nie zapomni całkowicie swego stylu i tej epoki swego życia, w której był jednym z najbardziej notowanych, a w każdym razie jednym z najbardziej typowych kolorystów.

Van Dongen: „Nini z Folies Bergère".

„CICHY DON" NA BELGRADZKIEJ SCENIE

■ W ramach obchodów w Jugosławii 50 rocznicy Wielkiego Października, Narodowy Teatr w Belgradzie wystawia sceniczną adaptację „Cichego Donu" Szołochowa.

MARCEL MARCEAU

■ Od czasu do czasu mieszkańcy jednej z miejscowości odległej o 70 kilometrów od Paryża widzą człowieka, który z niezwykłym zapałem uprawia swój ogródek. Kopie, grabi, gracuje ścieżki, wykonuje najprzeróżniejsze prace ogrodnicze. I nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to właśnie, że ów człowiek o spojrzeniu dziecka i twarzy podobnej nieco do Chagalla, pracuje w swym ogródku bez narzędzi. Kopie bez łopaty, grabi bez grabi i gracuje udając jedynie, że trzyma narzędzie w ręku. Potem zmęczony przysiada na nieistniejącej ławce. Owym człowiekiem jest Marcel Marceau. Słynny aktor pantomimiczny. W Paryżu jest bardzo lubiany, ale gdy wyjeżdża, a wyjeżdża bardzo często, szybko się o nim jakoś zapomina. A jego sława poza granicami Francji równa jest niemal popularności Brigitte Bardot. W Nowym Jorku Marcel Marceau potrafi w ciągu 8 tygodni sam jeden dawać przedstawienia w sali, do której przybywa po 3.600 widzów na każdy jego występ. Na dwa miesiące przed jego pojawieniem się na scenie, sprzedawane są bilety w Meksyku, Londynie, Tokio. Objeżdża świat ciesząc się wszędzie ogromnym powodzeniem. W tym roku, po trzyletniej przerwie, występuje przez miesiąc w Théâtre de Champs Elysées. Program? Jak najbardziej rozmaity. Bohaterem jest Bip, bohater zabawnych, pantomimicznych historyjek, którego gra Marcel Marceau. Bip jest żołnierzem, Bip donżuanem, Bip zagubiony wśród lodów — tysiące zabawnych sytuacji i przygód odgrywanych bez jednego słowa, jedynie mimiką, gestem, ruchem. Poza sceną Marcel Marceau jest całkiem inny. Mówi bardzo dużo, jest wprost gadatliwy, a głos ma niezbyt przyjemny, nieco chrypiący. Ale po występach scenicznych, w czasie których nie mówi nic, chce się nareszcie wygadać. Nie zawsze jednak mu się to udaje. I tak np. Marcel Marceau wspomina swój pobyt w Indiach, gdy jadł śniadanie z premierem Nehru. „W ciągu czterech godzin — mówił Marceau — zamieniliśmy z sobą raptem cztery zdania. Po raz pierwszy spotkałem męża stanu, który ceniłby milczenie tak jak ja".

Słynny aktor pantomimiczny ma obecnie 43 lata. Swą karierę artystyczną zaczął jako amator występując w przedstawieniu w szkole, której dyrektorka była jego ciotka. Podczas wojny czynnie uczestniczył w Ruchu Oporu i był ścigany przez gestapo. Po wojnie pracował początkowo jako statysta w jednym z paryskich teatrów, potem już jako aktor. Obecnie projektuje założenie szkoły pantomimy w Paryżu. W wielu stolicach, gdzie występował, powstają lub powstały szkoły tego rodzaju.

O czym marzy? Żeby w biurach i urzędach można było załatwiać sprawy jedynie przy pomocy mimiki. Bez zbędnych słów i papierków.

Marcel Marceau

UNOWOCZEŚNIONA MANON LESCAUT

■ Jean Aurel nakręca film pt. „Manon 70". Temat zapożyczony jest ze słynnej powieści Prévosta, ale całkowicie przeniesiony w naszą epokę. Des Grieux jest w tym filmie dziennikarzem, a jego ukochana młoda, nowoczesna dziewczyna. Zakończenie filmu będzie bardziej szczęśliwe niż w powieści, w której dzieje miłości kawalera Des Grieux i Manon Lescaut kończą się tragicznie.

Stara oberża z powieści Prévosta, gdzie następuje pierwsze spotkanie młodych, w filmie jest tarasem paryskiej kawiarni.

Przypomnijmy, że Antoine-Francois Prévost d'Exiles (1697—1763) pisywał pamiętniki i powieści o niezwykłych przygodach. Sam prowadził życie niespokojne. Kilka krotnie porzucał klasztor dla armii, to znów służbę w wojsku rzucał dla życia klasztornego. Wiele podróżował, miał wiele miłosnych przygód. Napisał kilka miernych powieści i dopiero „Historia Manon Lescaut i kawalera des Grieux" (będąca fragmentem VII księgi, „Mémoires et avantures") zapewniła mu trwałe miejsce w historii literatury światowej.

„Historia Manon" — to opowieść o wielkiej miłości, o wielkiej namiętności, która sprowadza nieszczęścia i niszczy życie kochanków.

Bez strachu

ZWIERZĘ

Zwierzę żyje obok człowieka — nawet jeśli najżarliwiej objawia swoje przywiązanie, nawet wtedy jego kontakt z człowiekiem jest pozorny, bowiem my, ludzie, nie wiemy czy zwierzę myśli i domyślamy się, że zwierzę nie rozumie słowa „mysie nie". A przecież myślenie spaja nasze współżycie — czyni je literalnym i bezbłędnym. Zwierzę najżarliwiej nawet miłujące człowieka — błądzi — zapewne mniema, jeżeli mniemać jest zdolne, że człowiek — pan zwierzęcia, jest... Każde zwierzę mniema zapewne o człowieku co innego. Jeżeli zwierzę jest psem, mniema zapewne, że człowiek jest członkiem hordy — być może uważa go za wodza hordy, osobliwego wodza — mało słuchliwego, mało czujnego, a przecież jednak wodza — zwierzę wyczuwa w człowieku pewną przewagę — człowiek jest karmicielem, a zatem jest sprawny — sprawność tę nieczęsto okazuje, ale wozowie mają prawo dziwaczyć, jeżeli już udowodnili swą wyższość poprzez łatwe zdobywanie pożywienia. Jeżeli zwierzę jest kotem, mniema zapewne, że człowiek jest elementem miejsca, szczególnie ciepłym, ruchowym, jadłodawczym. Prawdopodobnie zwierzę wie o nas nie więcej niż my o nim. Nie znamy zwierzęcia „od środka" — dostrzegamy w nim to tylko, czym jest „odwrócone na zewnątrz" — w podobnej sytuacji jest i zwierzę. Nie tylko zwierzę żyje obok człowieka, także człowiek żyje obok zwierzęcia. Pan wychodzi na spacer z pieskiem — prowadzi pieska na smyczy — piesek nie wydaje się być tym faktem upokorzony — wyrywa się niekiedy — wszakże nie dlatego, by pragnął zasadniczo uwolnić się od smyczy, chce dosięgnąć konkretnego obiektu. Obiekt znajdujący się poza zasięgiem smyczy — to wszystko. Po chwili idą już zgodnie — dwa anonimy — pan nieznany psu, pies nieznany panu. A przecież istnieje między nimi wiele związków. Spróbujcie zaatakować pana, a pies was dotkliwie pokąsa, spróbujcie uderzyć psa, a pan wystąpi w jego obronie. „Proszę pana, dlaczego broni pan psa, o którym pan nic nie wie"... „Jak to, nie wiem, kupiłem go kiedyś, piastowałem od szczeniaka, żywię go, kąpię, szczotkuję — czy to mało?!" „Mało, to nie jest wiedza o nim — widzi pan i wie to tylko, co pies okazuje, nie zna pan jego wnętrza, jego myśli, nie wie pan nawet czy on ma wnętrze i myśli", „A idźże pan z taką mową, a skąd wiem, że pan szanowny ma jakieś tam wnętrze i myśli", „Ale ja wiem, że mam wnętrze i mogę panu o tym zakomunikować". „A ja mogę w te pana komunikaty uwierzyć albo nie, tak jak wierzę w wyrazy życzliwości i wyrazy gniewu psa, w wyrazy jego tęsknoty i jego radości z tym jeszcze, że pies nie kłamie, a skąd mogę wiedzieć, czy pan szanowny nie buja". „Pana pies nie przemówi do pana ani jednym słowem, a tylko słowami może na zakomunikować istotne treści — ponadto pana pies jest urodzonym błaznem, zgrywa się i buja pana w sposób zupełnie haniebny — oto wyrywa się panu — wydaje się, że jeżeli mnie dopadnie — zostanę zagryziony na śmierć, to oczywiście, bujda — proszę niech pan odepnie smycz — pies natychmiast uspokoi się i zostanie potulnie przy panu — bo pana pies to kuglarz i błagier, a przy tym zupełny tchórz. Okłamuje pana w czasie każdego kroku tego spaceru. Brak mu także odwagi cywilnej — kiedy coś zbroi, stara się nieudolnie zatrzeć ślady winy. Gdyby nie był tylko psem, powiedziałbym, że brak mu cnót obywatelskich — jest wreszcie leniwy i niedołężny". „Proszę pana, rzucił pan na to zwierzę cały szereg oskarżeń — oskarżenia te były zarazem charakterystyką jego wnętrza — jego utajonego — wymyślonego przez pana wnętrza. Otóż myślę, że pan bardzo nie lubi zwierząt i dlatego nic pan o nich nie wie, co gorsza brak panu świadomości tej niewiedzy i żywi pan przekonanie wynikające z uprzedzeń. Wiedza, drogi panie, wiedza o zwierzętach jest jedną z form sympatii dla zwierząt". Szarpnął smycz i odeszli, a raczej odszedł ciągnąc za sobą psa — ten bowiem opierał się tak silnie, że trzeba go było ciągnąć po bruku, jak martwy przedmiot.

BERNARD SZTAJNERT

ANTONI SZRAM

Smak „Złotego Grona"

(Refleksje i nauczki)

PRZESTRZEŃ I WYRAZ — to lapidarne hasło legło u podstaw organizacji III Wystawy i Sympozjum „Złotego Grona" w Zielonej Górze (2—5 września br.). Inicjatywa lubuskich plastyków jest niejako symbolem fermentu artystycznego w naszym kraju. Okręg liczący niewiele ponad 40 osób zaczyna być notowany na rynku ogólnopolskim, daje się zauważyć jego ożywiona działalność artystyczna przede wszystkim zasługa powszechniająca polską plastykę. Bowiem lubuskie manifestacje artystyczne (a do takich rozmiarów rozrosły się te trzy imprezy plastyczne: 1963, 1965, 1967) gromadzą nie tylko cenionych polskich artystów, krytyków i teoretyków sztuki, ale sporo cudzoziemców interesujących się polską sztuką i mogących w tym względzie przyczynić się do jej upowszechnienia w świecie.

Byłem zaskoczony dużą zręcznością, jaką przejawiają i wykorzystują czołowi plastycy zielonogórscy w kontaktach z największymi partnerami z Warszawy czy Krakowa, celem nadania rangi swojej imprezie, przydania świetności błyskiem nazwisk niektórych uczestników, zapewnienia odpowiedniej temperatury artystycznych dyskusji.

Na „splendid isolation" nie stać obecnie nawet najpotężniejszego okręgu warszawskiego czy krakowskiego — przemiany naszej sejentystycznej epoki, proces gwałtownej integracji sztuk plastycznych decydują o „być albo nie być" w czołówce polskiej awangardy. Trwają więc przygotowania do poważnych imprez o zasięgu światowym na rok 1968 m. in.: II Międzynarodowego Biennale Plakatu w Warszawie i II Międzynarodowego Biennale Grafiki w Krakowie oraz międzynarodowej konfrontacji pt. „Współdziałanie Sztuk Wizualnych" w Warszawie.

„Złote Grono" zaczyna ustalać swoje miejsce w hierarchii wartości kulturowych. Tym razem, ukierunkowane przez prof. dr Juliusza Starzyńskiego (przewodniczącego komisji programowej), poświęcone odrębnemu problemowi: integracji sztuki — znajdzie swego historyka. Można sobie wyobrazić jego trudności. Dzisiaj niemal co miesiąc rodzi się nowy program artystyczny, notujemy kompletną dezorientację krytyków, nagłe zmiany ich sympatii i upodobań. Choćby ostatnio, zmieniające się raz po raz o 180 stopni opinie piszących o plastyce adwersarzy, publikowane w „Kulturze", „Życiu Literackim", „Polityce", „Współczesności", czy też w „Trybunie Ludu" lub „Życiu Warszawy". Zmiana systemu wartości, która była rezultatem pojęcia powszechnej akceptacji nowej myśli naukowej, wywarła wpływ na myśl artystyczną, na teorię sztuki, na sposób percepcji estetycznej, którą niektórzy krytycy i plastycy usiłują dość zasadniczo zintelektualizować. Na tej bazie kryją się nowe intencje: zanik respektu dla autorytetu konwencjonalnych, tradycyjnych technik plastycznych (tradycjonalizm oznaczał dlań również poczucie tradycyjnej odpowiedzialności — więc i tu zmiana). Monopolistyczny system dotychczasowych wartości został więc rozbity. Integracja sztuk plastycznych, pogodzenie sztuki z naukami ścisłymi i techniką (wystawy grup Nowej Tendencji), tymi dziedzinami aktywności ludzkiego mózgu — oto cel poszukiwania ideału syntezy sztuki, oto aspiracje indywidualne interlokutorów, tło aktualnych dyskusji na różnych międzynarodowych wystawach i sympozjach plastyki.

Wolno mi chyba jednak w tej materii zgłosić votum separatum przedstawiając fantazyjny nieco acz bynajmniej nie błahy świat odbiorcy, uwagi uczestnika lubuskiego Sympozjum.

Niewątpliwie, należy raz jeszcze z całą satysfakcją stwierdzić, że zielonogórska impreza dała asumpt do odświeżenia sądów profesjonalistów, ruchliwości środowisk plastycznych innych okręgów. Wydarzenie III „Złotego Grona" było zgoła niekonwencjonalne, zdynamizowane wystawami: awangardowej międzynarodowej grupy — Architecture Prospective, indywidualną — prac Oskara i Zofii Hansenów (linearny system ciągły), trzema mikro-retrospektywnymi ekspozycjami polskich prekursorów sztuki syntetycznej tj. Witkacego, Chwistka i Strzemińskiego, wreszcie — najbardziej dyskusyjną — ekspozycją specjalnie zaproszonych artystów do tzw. aranżacji przestrzeni i sal Muzeum Okręgowego (całe II piętro). Trzeba również odnotować, że poza oficjalnie ogłoszonym programem pn. „Przestrzeń i Wyraz" odbył się w Zielonej Górze ambitny pokaz plastyki tego okręgu.

Nie chcę podejmować się roli rzecznika sprawiedliwości i cytować solidnej porcji dowcipów krążących na temat wystawy i sympozjum „Przestrzeń i Wyraz", na temat dzieł sztuki i twórców tam zaproszonych. Mogłoby się komuś wydawać (proszę sprawdzić — wystawa ma potrwać do końca bieżącego roku), że w aranżacje (Pan J. Przyboś skompromitował to słowo, nazywając je bezwstydnym barbaryzmem, a potem, w dalszych uwagach ograniczał się tylko do używania pierwszych jego głosek, arr... pozostałe nie mogły mu przejść przez usta) przestrzeni zamkniętej w sześcianie sali Muzeum łatwo będzie zaadaptować nowe treści, wprowadzić szczyptę głoszonych idei z zakresu nauk ścisłych, cybernetyki. Okazało się, że tak nie jest, ponieważ w salach owego muzeum zabrakło po prostu przestrzeni, słońca, światła, życia. Próżno tam więc było szukać wymogów niezbędnych dla integracji sztuk plastycznych. Działanie na naszą emocjonalność było jednostronne: albo grą światła elektrycznego, eksponatem — przedmiotem plastycznym (Stefan Krygier, Marian Szpakowski), co najwyżej — poszczególne pokoje (cele artystów) odróżniał kolor (Marian Bogusz), zapach (Rajmund Ziemski), czasem dźwięk (Tadeusz Dobosz). Nigdy — zdecydowany wyraz, wyjąwszy może dwa przypadki, o których niżej. Niemal wszystkie projektowania charakteryzował duży ładunek pesymizmu myśli twórczej. Pełzając w tunelach Morela (niedawno entuzjastycznie ocenianego w „Życiu Literackim" przez J. Madejskiego) powierzchowne nasuwały się refleksje o sztuce naszych czasów. Skojarzenia ze wszystkim: kanalizacją, kominem, klozetem, mysią dziurą — za moment chciałoby się opowiedzieć dowcip o systemie skojarzeniowym pewnego tępego szeregowca...

Czym jest, chwalony, przykładowy tu loch Morela w porównaniu z podziemiami piramid egipskich, katakumb, lub z freskami z Farras — może rewelacją naszej cywilizacji? Emocjonalność widza zaatakowana jest tylko ową bezsensowną negacją interesów użytkownika. I czego to jest przedstawienie?

W rzeczywistości — nowe zdobycze myśli naukowej i myśli artystycznej nie wywarły większego wpływu poza czysto naskórkowymi naleciałościami formalnymi, na przedmiot plastyczny, organizację przestrzeni, na wyraz. Zaznaczyły się wprowadzeniem udoskonaleń i zmian natury technologicznej, a nie nowej idei. Cóż może jednak zdziałać zaproszony do Zielonej Góry plastyk, dysponujący skromnymi środkami na realizację swego pomysłu, jak tylko skromną imitację czegoś wielkiego — ciche „oszustwa plastyczne o skali międzynarodowej". Bo naprawdę, za najlepsze projektowanie wyróżniony został przez krytykę zespół łódzki (Zdzisław Głowacki, Tomasz Jaśkiewicz, Tadeusz Śliwiński, Tadeusz Wolański). Odczuwamy coś w rodzaju chorobliwej przestrzeni, tutaj, wśród poprutych pęknięciami ścian i zawieszonych metalizowanych, połyskliwych kul różnej wielkości, odnosimy wrażenie wchodzenia w jakąś głębinę przestrzeni bez końca, w kosmos. Tak samo — co może się wydawać zaskakujące — artysta malarz, Stefan Gierowski, dopiero tam, w Zielonej Górze odniósł pełny sukces na swojej indywidualnej wystawie. Obrazy sztalugowe, które maluje obustronnie „na op", eksponowane wcześniej w Zachęcie nie oddziałały tak silnie na odbiorcę, jak tym razem; wprost zaatakowały widza absolutnie. Ich niekonwencjonalne zawieszenie tylko jednym bokiem na ścianie stworzyło wrażenie przestrzeni, rodzaj drogi kosmicznej. Duża ilość nagromadzonych płócien kaleczyła ciało zwiedzającego bokami ram, nie odczuwało się ich liczby, zadrażniały nas tylko do niespotykanych granic, triumfowały nie tylko dla bogatego języka, ale i dla swoich ścisłych związków z cywilizacją techniczną, cywilizacją atomowej przyszłości...

Oba przykłady aranżacji przestrzeni świadczyły o dużej koncentracji psychicznej autorów, stosujących proste środki wyrazowe w zamachu na wrażliwość widza. Choćby dla nich warto było organizować taką wystawę jak „Przestrzeń i Wyraz" — klasówkę, sprawdzającą uwrażliwienie naszych zaangażowanych artystów plastyków. Czy taka kazuistyka jest przekonująca? Bardzo możliwe, że nie — w każdym razie, tego rodzaju twórczość, twórczość zespalająca wszystkie metody obrazowania wymaga od naszych artystów przede wszystkim nakładów finansowych, niezbędnych do realizacji ich projektów, tak samo, jak to ma miejsce w rozwoju przemysłu. Wtedy aktywność twórcza zostanie spełniona, zaś przykłady plastyczne powstaną znamienne i charakterystyczne. Inaczej — wszelkie eksperymenty, owa twórcza fanfaronada, nie opuszczą świata fantazji i bajek. Będą w dalszym ciągu obiektem anegdot i kpinek różnych w naszym kraju krytyków bez wyobraźni, lub powierzchowne w swych upodobaniach publiczności.

JERZY URBANKIEWICZ

Rozczarowana dorożka

Nie było w Łodzi zaczarowanych dorożkarzy zaczarowanych dorożek, ani zaczarowanych koni. Realizm rządził tym zawodem od samego zarania, czego łatwo dowieść na podstawie niżej przytoczonych faktów.

Przez pierwsze ćwierćwiecze istnienia Łodzi przemysłowej nie wiedział nikt, co to takiego dorożka. A jeśli trzeba było jechać od Geyera do Ratusza, to się szukało furmanki, lub szło pieszo. Odległość ta wynosiła jednakże około mili. Fabrykanci pokonywali ją powozami, inni ludzie mieli do rozwiązania problem. Pomysł rozwiązania go w skali miasta zrodził się w roku 1839. Mianowicie niejaki Julian Czajkowski zwrócił się do władz miejskich z prośbą o zezwolenie wypuszczenia na ulice dwóch „dorożek, czyli omnibusów" Czajkowski rozumiał znaczenie komunikacji dla miasta, szeroko więc uzasadnił swój pomysł. Brak komunikacji przeszkadzał rozwojowi miasta zwłaszcza ludzie zajmujący się handlem mieli wielkie kłopoty, bo konieczność przewiezienia towaru zmuszała ich do szukania furmanek i przepłacania. Właściciele furmanek czuli konjunkturę i wykorzystywali ją. Natomiast dorożki na każde zawołanie ludzi interesu, wozić będą za niższą niż furmanki cenę, a przy tym z furmanek miasto nie miało żadnego dochodu, a z dorożek będzie miało.

Zanim podanie nabrało wartości, wylegując się w biurkach urzędników, zanim dotarło do burmistrza Tangermana, minął prawie rok. Burmistrz docenił wartość propozycji i wezwał Czajkowskiego do siebie, by mu osobiście zaproponować realizację pomysłu. Niestety Czajkowski zdążył machnąć ręką na urzędników, burmistrza oraz własny pomysł i wyjechał do Warszawy, gdzie objął posadę aplikanta w komisji przychodów i skarbu. Fakt ten nie powstrzymał Tangermana od wcielenia pomysłu w życie i w roku 1840 pierwsze cztery dorożki wyjechały na miasto. Woźnice ubrani byli w liberie koloru piaskowego z błękitnymi kołnierzami i mankietami. Na głowie — cylinder czarny, lakierowany lub czapka z błękitną obwódką. Na plecach, poniżej kołnierza — blacha z numerem.

Przepisy przyjęto warszawskie. Nakazywały one grzeczność w stosunku do pasażerów, zabraniały „trinkgeldu" czyli napiwków i wożenia nieboszczyków na cmentarz.

Ilość dorożek szybko się powiększyła, były bowiem w mieście potrzebne, w miarę jednak rozwoju instytucji coraz mniej pamiętano o przepisach. A te wymagały na przykład, aby dorożki pierwszej klasy były parokonne, miały cztery miejsca i wyposażone były w budę z fordeklem. Natomiast dorożki drugiej klasy mogły być jednokonne, dwuosobowe, ale musiały mieć skórzane fartuchy. Pierwsze nie odpowiadały przepisom choćby dlatego, że żaden łódzki dorożkarz nie karmiłby dwóch koni, mogąc te same kursy wykonywać na jedynej szkapie żywicielce, poza tym — faktycznie istniejące dorożki drugiej klasy miały co najmniej cztery miejsca, a jeśli było trzeba, to więcej. Nadmiar miejsc należy traktować jako ekwiwalent brakujących fartuchów. Przepisy poza tym wymagały schludności, która miała się wyrażać mundurami dorożkarzy, jednakowym wyglądem dorożek, wyposażeniem w błotniki i resory. W rzeczywistości ideał ten został osiągnięty bardzo późno, stosowane zaś sposoby podniesienia estetyki pojazdów ograniczały się do smarowania zewnętrznych ich części tłuszczem — dla połysku, co przyprawiało niejednego pasażera o zniszczenie ubrania, bo przecież środki wywabiające tłuste plamy nie zostały wynalezione zbyt dawno.

Dystans, jaki dzielił łódzkich dorożkarzy od wszystkiego, co nierealne, poetyckie, zaczarowane, wyrażał się poza ekwipunkiem — zwyczajami, jakim hołdowali nagminnie. Jeżeli więc dla przykładu chciał ktoś jechać w latach osiemdziesiątych do Zgierza, to szedł na plac Kościelny, gdzie łatwo było o dorożkarza wybierającego się w tamtym kierunku. Otóż pewną damę znalazła takiego, umówiła się z nim co do ceny, usiadła i zapytała, kiedy pojadą. Dorożkarz odpowiedział: „Ech fur szoim" i poszedł do szynku. (Odpowiedź dorożkarza przytaczam na odpowiedzialność starszego kolegi po piórze, który wiadomość powyższą zamieścił w r. 1881 w Dzienniku Łódzkim). Po dwóch godzinach zjawiło się czterech panów, którzy również zawarli wstępną umowę z tym samym dorożkarzem na podróż do Zgierza. Jednakże wobec umówienia pięciu pasażerów jeden musiał jechać na kozle. Kto? — oczywiście owa dama, jako osoba słabsza i pozbawiona sojuszników. Kiedy się sprzeciwiała, dorożkarz powiedział — jeśli wierzyć relacji naocznego świadka: „Siadacz na kozieł, albo złazicz z derożki". Sytuację rozwikłał fakt, że czterej panowie spotkali znajomego z powozem i w ogóle zrezygnowali z usług dorożki.

Wielu dorożkarzy pozostawało w kontaktach ze światem przestępczym i „pracowało" na korzyść różnych gangów. Gasili wtedy latarnie, aby utrudnić zidentyfikowanie — numery boczne dorożek były bowiem wymalowane na latarniach. Historia zapisała nader częsty udział dorożkarzy w drobnych kradzieżach i rabunkach, opis zaś bardziej wymyślnych przestępstw znajdzie Czytelnik poniżej.

W latach międzywojennych grupa gentelmanów wpadła na pewien kapitalny pomysł, którego genezy należy szukać w następującym rozumowaniu. Jeżeli towar sprzedać, wziąć za niego pieniądze i oddać nabywcy, to zarobi się niewiele. Lepiej byłoby ten sam towar sprzedawać wielokrotnie, za każdym razem brać zapłatę, ale towaru nie oddawać. Tę niezwykłą instytucję kupna — sprzedaży pozbawioną alienacji obmyślono w ten sposób, że na przykład zaproponowano Leipcygerowi kupno pewnej ilości przędzy. Transakcję zawarto w jakimś przypadkowym miejscu, na przykład — w kawiarni. Leipcyger zapytał, czy przypadkiem towar nie pochodzi z kradzieży. Następowało mnóstwo przekonywających przysiąg, że pochodzi z jak najbardziej uczciwego źródła. Leipcyger oświadczał, że reflektuje. Szli wtedy do jakiegoś innego lokalu, gdzie nabywca otrzymywał przędzę, wychodził na ulicę, a tam dziwnym trafem przejeżdżała dorożka Nachmana Jakubowicza. Sprzedawca ją zatrzymywał, wsiadali razem z Leipcygerem i dorożka ruszała we wskazanym kierunku. Ale za najbliższym zakrętem sprzedawca z przerażeniem stwierdzał, że na posterunku stoją dwaj policjanci. Byli to niezmiennie posterunkowi J. Jarecki i A. Składkowski. Sprzedawca przyznawał się wtedy Leipcygerowi, że jednak towar był kradziony, kazał dorożkarzowi prędko jechać, szkapa ruszała jakąś imitacją galopu, policjanci gwizdali, wobec czego Leipcyger uciekał bez towaru, a towar wracał do punktu wyjściowego, by czekać na następnego nabywcę. Jaki był finał sprawy — łatwo się domyślić.

Dorożkarze nie byli pozbawieni humoru. Kiedyś gość z Warszawy opuścił hotel „Victoria" mieszczący się tam, gdzie dziś oficynę zajmuje kino „Polonia" i kazał się wieźć do... Grand Hotelu, tzn. na drugą stronę ulicy. Dorożkarz uczynił zadość żądaniu, ale najpierw pokręcił się trochę po mieście i wziął pieniądze jak za porządny kurs. Gość pojął, że go okpiono, ale po zapłaceniu należności.

Wiele kłopotów mieli dorożkarze ze strażakami. Przed 70 laty straż nie miała wozów ani koni i strażacy pędzili na miejsce pożaru jak kto mógł, przeważnie dorożkami. Stąd liczne konflikty zarówno z dorożkarzami, jak i pasażerami, którzy rzadko przyznawali pierwszeństwo obrońcom mienia, tym bardziej, że nigdy nie było wiadomo, czy pożar stanowi dla właściciela płonącego obiektu klęskę, czy dobrodziejstwo.

Nie lubili dorożkarze targujących się klientów. Jeśli targ nie dochodził do skutku, zacinali konia dokładnie w chwili, kiedy niedoszły pasażer chciał postawić nogę na ziemi. Koń szarpał a tamten przewracał się gwałtownie. Oczywiście społeczeństwo odpłacało dorożkarzom jak mogło, zwłaszcza za pośrednictwem swojej młodzieży, która często kazała się wozić po mieście, a na żądanie zapłaty odpowiadała — laskami.

Znane było określenie „chabeta dorożkarska". Chodziło bowiem w tym fachu, podobnie jak i w innych, o duży zarobek przy małych nakładach. Stąd kiepska jakość koni, kiepska jakość dorożek, które często rozpadały się pod pasażerami, a jednocześnie — ostra walka konkurencyjna. Wyrażała się nierzadko tym, że na zawołanie: „Dorożka"! ruszało z kopyta kilku, znane były przy tym wypadki, że wyprzedzony przez kolegę dorożkarz wjeżdżał na chodnik i zdobywał pasażera, nie oglądając się na przepisy — jakbyśmy to dziś powiedzieli — bezpieczeństwa ruchu.

Władze miejskie wiele miały z tym zawodem kłopotów. Organizowano doroczne przeglądy zaprzęgów, początkowo na Nowym Rynku, przed Ratuszem, a później — przed gmachem policji przy Alei Kościuszki 1, ale przez długie lata nie powodowało to poprawy sytuacji.

A jeszcze — aby było sprawiedliwie. Mieli dorożkarze swój pozytywny udział w wydarzeniach 1905 r. i następnych lat. W wielu ówczesnych akcjach politycznych, w wielu zamachach na przedstawicieli władz carskich zamachowcy posługiwali się dorożkami, co przecież wymazuje wiele z opisanych wyżej win.

Między wojnami powiedzenie: „On ma dorożkę" znaczyło tyle, co: „Temu się powodzi!.." I istotnie powodziło się. Właściciel konia i dorożki nie mógł być bezrobotny, a — jeśli pominąć okresy ostrych kryzysów ekonomicznych — dzienny przychód nierzadko przekraczał 50 zł, co wobec niskich cen paszy czyniło ten zawód godnym pozazdroszczenia. Taksówki przez długie lata nie stanowiły konkurencji, były droższe, a poza tym podopieczni św. Fiakriusza oferowali pasażerowi świeże powietrze z rzadka psute za przyczyną siły pociągowej, rozległe widoki na miasto i przechodniów oraz ów rytmiczny stuk końskich kopyt, który ponoć stał się kanwą dla straussowskich „Opowieści lasku wiedeńskiego". Był okres, kiedy ilość dorożek konnych przekroczyła dwa tysiące. Byli tacy z jednym konikiem i własną tylko ludzką siłą roboczą, a byli też dorożkarze-nakładcy, którzy wieczorem zlazili z kozła, zaprzęgali świeżego konia i posyłali wehikuł na nocną zmianę. Ta bywała korzystna o tyle, że kursy od knajpy do knajpy z rozweselonymi pasażerami dawały często nadzwyczajne dochody.

W pierwszych dniach września 1939 roku zmobilizowano dorożkarzy do owych smutnych mobilizacji, o których do dziś mówi się w Łodzi jako o pójściu „na Warszawę", a które miały swój tragiczny finał pod niemieckimi bombami. Wielu dotarło do stolicy. Dla wielu powrót oznaczał koniec pracy w dorożkarskim zawodzie, a nawet koniec życia. Bowiem dorożkarzy-Żydów zatrzymali Niemcy w Głownie.

Przetrwały dorożki czas okupacji. Za przywiezienie owsa do miasta szło się na pół roku do więzienia. Więc tak jakoś ryzykując życiem i wolnością, zdobywało się paszę, a wraz z nią — możliwość zarobku. Na co dzień — rozparci i rozwrzeszczani żołnierze, albo przyjezdni z Rzeszy kazali się obwozić po przyległych do getta ulicach, by nasycić oczy wielkością niemieckich osiągnięć.

Po wojnie pojawiło się na ulicach niewiele dorożek. Przyczaiły się na Kościelnej i czekają cierpliwie na trudne do transportu oznaki podnoszenia się stopy, takie jak: telewizor, lodówka czy pralnica, które właściciele taksówek wspaniałomyślnie odstąpili dorożkom. Dziś — „on ma dorożkę" nie jest synonimem bogactwa. Zostało w Łodzi 16 jednokonnych powozików i czekają końca swej egzystencji wcale nie godnej pozazdroszczenia. Tych szesnastu starych ludzi zalicza się do kategorii „prywatna inicjatywa", czego konsekwencją są wyższe podatki i opłaty wyższe niż w wypadku osób zatrudnionych w sektorze uspołecznionym. Nie mają uprawnień do renty. Są ginącym zawodem, bez przyszłości, bez miejsca w tym porządku, który się u nas tworzy.

A przecież dorożka „siedzi" w krajobrazie miasta. Zwiększone opłaty od tych szesnastu starych powozików i starych koni nie ważą nic nawet w budżecie dzielnicy. A jeżeli nie pasują one do naszych czasów urządzonych na zasadzie elektroniki i silników wysokoprężnych, to może potraktować tych 16 dorożek jak żubry i — niech sobie istnieją?

Fot. J. Koudelka (CSRS).

Lewym okiem

KRASNOLUDKI SĄ NA TAMTYM ŚWIECIE

Cała nasza prasa cytowała przed rokiem komunikat, ogłoszony w Stanach Zjednoczonych przez specjalną komisję ekspertów do badania niezidentyfikowanych obiektów latających, czyli mówiąc wulgarniej: latających talerzy. Komisja zbierała materiały przez parę lat, przestudiowała setki różnych zeznań ze wszystkich krańców świata i ogłosiła, że latające talerze to nie talerze tylko oryginalne zjawisko świetlne powstające przy pewnych warunkach atmosferycznych w pobliżu linii wysokiego napięcia. Taka jak gdyby malutka i trwająca ułamek sekundy, sztuczna zorza polarna, czy coś w tym guście.

Przed paroma dniami prasa doniosła znowu, że we Włoszech zbiera się międzynarodowy kongres ekspertów do spraw latających talerzy. Chyba to nie ci sami eksperci: ci bowiem mają za zadanie ni mniej ni więcej, tylko uchwalić prawny status osób, przybyłych na ziemię z innych planet. A więc ich obywatelstwo, bierne i czynne prawo głosowania do parlamentu, stosunek do służby wojskowej i przywileje dyplomatyczne.

Nie wiemy, kto i kiedy pierwszy raz wyobraził sobie anioła jako bezpłciową postać ludzką z łabędzimi skrzydłami przy łopatkach, oprócz normalnych rąk i nóg; a więc jako postać o sześciu kończynach, boć skrzydło jest zwyczajną ptasią kończyną. Nie wiemy, kto i kiedy wyobraził sobie po raz pierwszy szatana, jako mężczyznę ze szpiczbródką, z rogami na łysej głowie, z krowim ogonem i z dwoma kopytami zamiast nóg. Obydwa te wyobrażenia kształtowały się zapewne przez wieki, z opowieści tych co widzieli i tych, którzy słyszeli o takich, co widzieli. Jakoś to się godziło z Testamentem, który powiedział, że pierwsze szatany były upadłymi, strąconymi z raju aniołami. Mogły im odpaść skrzydła i wyrosnąć ogony podczas spadania z najwyższych szczytów na najgłębsze dno.

To się zdarza. Mogli też zmężnieć i uzyskać jednoznaczne cechy płciowe, i to — jak twierdzili uczeni inkwizytorzy — w skali dość nieprzeciętnej. I mogli się zbierać na licznych kongresach eksperci z całego świata, radzący jak najpoważniej, czy szatan może być ojcem ludzkiego niemowlęcia, ilu aniołów zmieści się na łebku szpilki, jakich słów nie lubi diabeł tak bardzo, że na ich dźwięk wychodzi przez usta z brzucha człowieka, w którym jak soliter zamieszkał.

Jest wielu ludzi, którzy widzieli latające talerze, a nawet ich pasażerów z innych planet. Wielu też było takich, którzy widzieli diabła, anioła i krasnoludka. Wspólną cechą jednych i drugich oglądaczy jest trudny do wytłumaczenia fakt, że owe rzadkie spotkania zawsze przydarzały się na osobności, bez świadków, mimo że świat — a Stany Zjednoczone w szczególności — zamieszkały jest przecież tak gęsto. Marsjanami zajęli się tymczasem, jako pierwsi, rysownicy pism satyrycznych, ale dzięki nim mamy już prototyp takiego faceta: albo coś w rodzaju kijanki z dużym łbem i wątłym ogonkiem, albo facet zgeometryzowany, jak muzealna zbroja, z kwadratowym wielkim łbem i cienkimi nóżkami. Zarówno kijanka, jak ów facet mają przy tym na głowie dwa cienkie różki: anteny. Unowocześnione, zracjonalizowane rogi szatana. Za kilkadziesiąt lat powszechna konwencja da już Marsjanom w pełni ukształtowany, z wszystkimi szczegółami, wygląd, cechy charakteru i styl bycia. I kongresy będą się odbywać nadal, jak od tylu wieków.

Ja nic nie powiedziałem. Tak sobie tylko, z pustej przekory, dedykowanej wielkiemu Wolterowi, dałem wyraz nieodpowiedzialnym porównaniom, które mógłbym zakończyć — w stylu naszej epoki — nową hipotezą fantastyczno-naukową: może dlatego ludzkość wierzyła zawsze, tak jak dzisiaj, w istoty nie z tej Ziemi, w krasnoludki, wilkołaki, anioły, Marsjan — że ktoś, gdzieś, kiedyś naprawdę się z nimi zetknął? Przed milionem lat? Naturalnie z Marsjanami, nie z krasnoludkami. A może to to samo?

ĆWIEK

Redaguje zespół: Halina Bekowa (redaktor techniczny), Wacław Biliński (redaktor naczelny), Konrad Frejdlich, Jan Koprowski (kierownik działu kulturalnego), Andrzej Makowiecki, Ewa Siemińska, Włodzimierz Stokowski (z-ca redaktora naczelnego i sekretarz redakcji), Teresa Wojciechowska. Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk. Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17. Zam. 3151. XI. 1967 r. O-2.